

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2018/4

magazynhisteria.pl

"They're coming to get you, Barbara!"

Marcin Knyszyński



SAMOTNOŚĆ
Bruno Schulz

GOŚĆ SPECJALNY
Tomasz Siwiec

BARON | BIAŁA NIENAWIŚĆ | JAKUBEK | LARWA
PEDOPHILE GO! | POKRZYWDZONY | SERYJNY DEWASTATOR
ŚMIERĆ CZŁOWIEKA LIŻĄCEGO PALCE | WYJŚCIE | ZOMBEE

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
BARON	Adrian Konopka	5
BIAŁA NIENAWIŚĆ	Bohdan Waszkiewicz	17
JAKUBEK	Katarzyna Szewioła-Nagel	31
LARWA	Jastek Telica	44
PEDOPHILE GO!	Tomasz Siwiec	51
POKRZYWDZONY	Karol Mitka	58
SERYJNY DEWASTATOR	Marianna Szygoń	68
ŚMIERĆ CZŁOWIEKA LIŻĄCEGO PALCE	Antoni Nowakowski	75
WYJŚCIE	Michał Pleskacz	84
ZOMBEE	Mateusz Antczak	90
„They’re coming to get you, Barbara!”	Marcin Knyszyński	102
SAMOTNOŚĆ	Bruno Schulz	110

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk.

Małgorzata Siłkowska, Cezary Skoczeń, Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami lipcowa Histeria. Gościem Specjalnym dwudziestego siódmego numeru jest Tomasz Siwiec, który prezentuje na naszych łamach niepublikowane dotąd opowiadanie *Pedophile Go!*.

Wśród jedenastu tekstów znajdują się cztery finałowe z konkursu *I Ty możesz zostać zombie!*, zorganizowanego z okazji 1. rocznicy śmierci George'a Romero. O twórczości amerykańskiego reżysera będziecie mogli dowiedzieć się z artykułu Marcina Knyszyńskiego: „*They're coming to get you, Barbara!*”. Na początek wywiad z Histerykiem Miesiąca – Wojciechem Wieczorkiem.

Na koniec *Samotność*, czyli opowiadanie Bruno Schulza, którego 126. rocznicę urodzin obchodzimy w tym miesiącu.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad wrześniową Histerią. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA **HISTERYKA**



Wojciech Wieczorek

Warszawiak z urodzenia – skończyłem niedawno pół wieku, mieszkam w warszawskim Muranowa kochający podróże, miłośnik dobrej literatury (nie tylko grozy – odkrywam dla siebie ostatnio Steinbecka, Hemingwaya, powtórnie Lema, – jego Astronauce były PIERWSZĄ powieścią, jaką w życiu przeczytałem, mając około sześciu lat), starych horrorów i filmów SF z lat 30., 40. i 50. – to był dopiero klimat! – oraz heavy metalu. Z zawodu jestem lekarzem leczącym ludzi z chorób płuc.

Jakich pisarzy szeroko pojętej grozy cenisz sobie najbardziej?

Zdecydowanie na pierwszym miejscu jest Stephen King – jego „TO” jest najpiękniejszą książką, jaką w życiu czytałem – kilka razy! – i jest to powieść, którą na pewno zabrałbym na bezludną wyspę. Uważam zresztą, że jest to cudowna opowieść o przyjaźni i dojrzeniu, a dopiero potem horror. Natomiast jednym z pierwszych horrorów współczesnych, jaki przeczytałem, było „Manitou” Grahama Mastertona i jestem dumnym posiadaczem autografu autora z tegorocznych Targów Książki właśnie na tej książce. Za to z lat młodości pamiętam wrażenie, jakie zrobił na mnie Stefan Grabiński ze swoimi opowieściami grozy „kolejowymi” – z przyjemnością kupię jego zapowiadany zbiór opowiadań. Podobnie mam z Edgarem Allanem Poe – „Studnię i Wahadło” pamiętam do dziś. Nie mogę też nie wspomnieć Deana R. Koontza. Może nie jest to autor „czystej” grozy, ale wielokrotnie atmosfera jego książek mnie przerażała – zakończenie „Szeptów” do dziś wzbudza u mnie dreszcze.

Pisanie to hobby czy coś więcej?

Zdecydowanie hobby, ale także spełnienie marzenia o pisaniu, które mam od wielu lat. Debiut w „Histerii” dał mi dość dużego kopa, kolejne opowiadania, a także zarys powieści już powstają.

Z czym kojarzy Ci się słowo „histeria”?

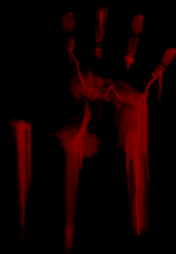
Pierwsze skojarzenie: wiktoriański szpital psychiatryczny – taki z czasów Kuby Rozpruwacza – pełen jęków pacjentów, stukotu łańcuchów i nieludzkich terapii.

Skąd pomysł na opowiadanie „ Dziecko”?

Pomysł pojawił się, gdy przeczytałem jakiś czas temu wiadomość o małym dziecku, które wypadło z okna, bodaj z dziesiątego piętra – i przeżyło. Pomyślałem: a co by było, gdyby nikt tego nie zauważył? Potem była myśl – a jakby widziała to tylko jedna osoba, a potem dziecko by zniknęło? Taki był początek.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Najpierw spisałem sam początek. Wyjściowo miało to być opowiadanie w rodzaju thrillera „niemożliwego”, czyli dziecko wypadło z okna z mieszkania zamkniętego od wewnątrz, a główny bohater zostaje wplątany w dziwne morderstwo. Uznałem jednak, że poziom skomplikowania intrygi przekraczałby ramy opowiadania, poza tym zwyciężyła u mnie chęć napisania jednak horroru. Na jakiś czas utknąłem w procesie pisania, mniej więcej po wizycie sanitariuszy w mieszkaniu Marty, nie mając pomysłu na zakończenie. Po dość długim czasie zasiadłem znów do komputera i w ciągu dwóch dni napisałem całość – stworzyła się niemal sama, pomysł przyszedł mi w trakcie pisania.





BARON

Adrian Konopka

Shango mógł tylko obserwować, jak włócznia gładko, bez najmniejszego oporu wnika w plecy Mulungu.

Biegł dalej, starając się nie myśleć o drzewcu wbitym w ciało siostrzeńca. Tego dnia umarło zbyt wielu wojowników, by móc faworyzować tylko jednego.

Ponaglał go popłoch i panująca dookoła wrzawa, lecz tym, co dawało najwięcej energii jego staremu ciału, był strach. Nie bał się jednak śmierci z rąk wrogiego plemienia. Bał się rozerwania na strzępy przez swych współplemieńców, którzy widząc jego słabość,

kierowani wściekłością, mogliby zapomnieć o zbliżającym się wrogu. Dlatego nie potrafił się obejrzeć, spojrzeć w twarze uciekających przed Fonami Jorubów. Jorubów, których zawiódł. Nie po raz pierwszy.

Strach w połączeniu ze wszechogarniającą hańbą sprawił, że nie poczuł rozdzierającego skórę ramienia grotu strzały. Z rany zdał sobie sprawę dopiero, gdy mokrą od krwi ręką przetarł oczy. Widok posoki trochę go ucieszył. Nikt mu nie zarzuci, że wyszedł z bitwy bez obrażeń.

Pomimo strachu i rozpanoszonej w żyłach adrenaliny czuł, że zaczyna brakować mu sił. Stojące w zenicie afrykańskie słońce prażyło jego skórę. Piasek pod stopami z każdym kolejnym krokiem parzył coraz silniej.

Krtań domagała się wody. Choćby jednego łyka, choćby jednej kropli. Shango sapał i charczał, a wysuszony język natrętnie przyklejał się do równie suchego podniebienia, co potęgowało potrzebę zwilżenia gardła.

Nie zwalniając biegu, uniósł do ust zakrwawioną rękę i próbował zlizać z niej choćby odrobinę posoki. Język natrafił na oszronioną potem, obleczoną zakrzeplą krwią skórę. Zacharczał i splunął.

Do ust i oczu cały czas dostawały się wirujące w powietrzu, drażniące ziarenka piasku.

Wiedział, że jego stare ciało nie wytrzyma szaleńczego biegu, że zaraz padnie na parzący piach, a wtedy...

– Shango! – do uszu dobiegł ostry, zachrypnięty głos.

Zatrzymał się, obrócił i zdał sobie sprawę, że Fonowie odpuścili już pościg, a w powietrzu nie roi się od strzał i włóczni.

Spojrzał na swoich czarnoskórych wojowników. Nie było ich wielu. Zdecydowana większość poległa w bitwie bądź podczas ucieczki.

Ci, którzy przeżyli, ciężko zwalili się na gorący piach i pili wodę z przechodzących z rąk do rąk bukłaków.

Niektórzy skryli twarze w dłoniach, cicho oplakując poległych braci, inni próbowali opatrywać rany lub wspierali tych, którym sił i krwi starczało tylko na ucieczkę z pola bitwy. Zdecydowana większość z wrogością spoglądała w oblicze wodza.

Nie winił ich za to. Obiecywał im chwałę, nowe ziemie, kobiety... zyskali porażkę, śmierć i, przede wszystkim, nienawiść do swego króla.

Spuścił głowę. Nikt nie podał mu bukłaka, by choć trochę ulżyć jego cierpieniu.

– Shango! – wycharczał jedyny utrzymujący się na nogach wojownik. – Ja, Ogun, brat poległego z twej winy Mulungu, syn twego brata Oronjanga, ogłaszam, że nim wstanie świt, zostaniesz osądzony przez radę wojowników.

Nastała głucha cisza. Nikt nie zaprotestował, nie wydał okrzyków zdumienia. Mężczyźni wstali i odeszli za Ogunem w kierunku osady, zostawiając zhańbionego króla samego pośród bezkresnej pustyni.

Shango ruszył dopiero wtedy, gdy oddalający się wojownicy zniknęli mu z oczu.

* * *

Dotarł do osady chwilę po zapadnięciu zmroku. Szedł powoli, z rękoma luźno opuszczonymi wzdłuż tułowia. Ból rannego ramienia natrętnie przypominał o porażce.

Przed palisadą czekała na niego tylko jedna osoba. Młoda, piękna kobieta, przyozdobiona wieloma złotymi obręczami, łańcuchami i bransoletami.

Poddana skaryfikacji twarz wykrzywiona była w pogardliwym grymasie. Mimo to widok żony trochę go pokrzepił.

– Oya – z trudem wysapał – ja...

– Przegrałeś.

Po raz kolejny tego dnia spuścił głowę.

– Przegrałeś i pozwoliłeś na śmierć swoich braci. Naszych braci. Ich krew plami twe ręce, twój honor.

– Oya...

– Plemię Fonów wciąż nam zagraża. Przez twe porażki obrośli w dumę i w siłę. A my staliśmy się słabsi.

Shango nie był w stanie nic wykrztusić z zaschniętej krtani.

– Kto obroni nas przed wrogiem? – zapytała cicho kobieta. Czekaając na odpowiedź, krytycznie lustrowała swego starego, niemal dziecięco bezbronno męża. Z goryczą doszła do wniosku, że nie przypomina już silnego, odważnego i dumnego króla, za którego wyszła i którego kochała.

Z politowaniem rzuciła mu pod nogi bukłak. Wódz padł na kolana, chwycił naczynie i zachłannie wpił w nie usta. Wyglądał żałośnie.

– Jesteś już stary, Shango – zawyrokowała Oya, patrząc, jak mąż łapczywie siorbie ostatnie krople. – Jesteś już stary.

Oya odeszła w głąb wioski. Czarna skóra kobiety zlała się z panującym dookoła mrokiem.

Shango wciąż klęczał, gdy pod niebo wystrzeliły słupy ognia. Płomienie w jednej chwili pochłonęły dwa ogromne stosy. Blask ognisk odegnał zalegającą w osadzie ciemność, ukazując ludzi stłoczonych na placu.

W powietrzu zawisły szybkie, arytmiczne dźwięki bębnów. Starzec wstał z kolan i ruszył w kierunku zebranych.

Słowa kobiety nieustannie szumiały mu w uszach, świdrowały, wywoływały coraz mocniejszy ból...

Jesteś już stary, Shango. Jesteś już stary.

* * *

Jorubowie stali naprzeciwko siebie, w dwóch szpalerach, tworząc w ten sposób ścieżkę wiodącą w kierunku podestu.

Shango wstąpił między poddanych. Przez wiele lat był dla nich dobrym władcą, którego bano się i kochano w równym stopniu. Teraz, patrząc na ich wrogie twarze, zdał sobie sprawę, że nieodwracalnie stracił cały respekt, który względem niego żywili.

Obarczony jarzmem żrących spojrzeń stawiał ociężałe, nierówne kroki w kierunku podestu usadowionego pomiędzy słupami ognia.

Bębniarze wciąż chaotycznie uderzali w naciągnięte skóry. Nikt jednak nie tańczył. Wszyscy, z wyjątkiem króla, zawieszani byli w niemym bezruchu.

Wódz wszedł na podest. Dopiero wtedy dostrzegł swą żonę, stojącą w niewielkim oddaleniu. Nie odwróciła się, by na niego spojrzeć.

Uderzenia bębnów umilkły dopiero gdy z chaty króla wyszedł rytualnie pomalowany Ogun. Jego umięśnione ciało zostało starannie nabłyszczane olejkami. Skóra wojownika niemal mieniła się w blasku ognisk.

Stanął na przedzie szeregu wojowników ustawionych naprzeciwko podwyższenia dla sądanego króla.

Jeden z mężczyzn podał Ogunowi włócznię. Jej grot wycelowany został w kierunku wodza. Wojownik, zawieszony w oskarżycielskiej pozie, przemówił, a jego twardy głos przetoczył się w ciszy nocy pomiędzy zebranymi Jorubami.

– Stary Shango! Trzykrotnie zawiodłeś nas na polu bitwy. Trzykrotnie wróg zdeptał

nasze siły i trzykrotnie zmuszeni byliśmy do haniebnej ucieczki. Odpowiedzialność za porażkę plemienia spada na ciebie, Shango, gdyż królem naszym i władcą chlubnie się mienisz. Shango, jesteś już stary, twoja chwała przeminęła i nie nadajesz się już na wodza. Shango! Nie jesteś już królem Jorubów! Twoja władza odeszła po przegranych bitwach z Fonami. Shango! Nie jesteś już królem Jorubów! Twoja siła nie jest już godna króla, dlatego ja, Ogun, syn Oronjanga, brata twego, zgodnie z wolą wojowników i całego plemienia, przejmuję twoje obowiązki jako władca. Shango! Nie jesteś już królem Jorubów! Odtąd twoja królewska małżonka moją małżonką się stanie, a me nasienie w niej da podwaliny dla nowej dynastii królów. Shango, skazuję cię na wieczne wygnanie z plemienia Jorubów. Już nigdy nie waż się wracać ciałem ani duchem do naszych ziem, w innym wypadku ja sam, Ogun, syn Oronjanga, przebiję twoje serce tą oto włócznią! Shango, byś po wsze czasy pamiętał o swej hańbie i banicji, wręczam ci tę tykwę. Shango, opuść nasze plemię aż po kres czasów!

Ogun cofnął oskarżycielsko wycelowaną włócznię, dopiero gdy skończył mówić. Wyciągnął dłoń w kierunku żony starca, ta zaś ochoczo ją chwyciła, wyzywająco patrząc w oczy Shango.

Jeden z wojowników podszedł do podestu i nie patrząc w oczy zdetronizowanego króla, położył niewielką tykwę przy jego stopach. Starzec nie schylił się, by ją podnieść. Przypomniawszy sobie te wszystkie lata, podczas których dowodził plemieniem, przypomniał sobie, ile Jorubowie zawdzięczają jego opiece. Resztki dumy odeгнаły upokorzenie, sprawiły, że mężczyzna wyprostował obwisłe ramiona, wypiął pierś, nabrał do niej powietrza i przemówił mocnym, donośnym głosem.

– Ja, Shango, syn Oriszy i niegdysiejszy król Wielkiego Plemienia Jorubów, który przez wiele lat prowadził nad wami sprawiedliwe rządy i poświęcił wam całe życie, poddaję się waszemu wyrokowi. Zawsze byłem przy was i dbając tylko o waszą pomyślność, nie mogłem nie przyjąć waszej woli. Odchodzę i oby me odejście zagwarantowało wam dobrobyt. Żegnajcie. Żegnaj i ty, Oya, moja niegdysiejsza małżonko, którą kochałem tak, jak nikogo innego na tym i na tamtym świecie.

Z chwilą zamilknięcia starca zgasły oba stosy. Ciemność zalała zgromadzonych. Z kilku krtani wydobyły się odgłosy zdziwienia, które gładko przerodziło się w przerażenie.

Shango chwycił tykwę i zszedł z podestu. Po raz kolejny przeszedł między szpalerami, po czym opuścił osadę i wniknął w mrok pustyni.

Niebo przecięła błyskawica, która na moment rozświetliła noc. Mimo to żaden z Jorubów nie dostrzegł oddalającego się starca.

* * *

Szedł przed siebie. Doskwierało mu pragnienie i rwący ból zranionego ramienia.

Nie wiedział, co powinien zrobić w zaistniałej sytuacji. Cóż mu pozostawało? Nie miał dokąd wracać, przed kim się ukorzyć, licząc na łaskę. Całe życie był królem, całe życie spędził wśród swoich ludzi, swojego plemienia. Może powinien położyć się na piasku i czekać na łaskawą śmierć, a może...

Nagle przypomniał sobie mężczyznę, którego spotkał wiele lat temu. Człowiek ów przedstawił się jako Bacor i był kimś w rodzaju kapłana. Niski starzec o skórze ozdobionej niezliczonej ilości metalowymi kółkami i obręczami. Mieszkał na pustyni, w oddaleniu od plemienia, którego nazwy Shango, pomimo usilnych starań, nie potrafił sobie przypomnieć. Pamiętał jedynie, że ludzie chadzali do Bacora po pomoc w wyjątkowo trudnych sytuacjach, wymagających interwencji złych, magicznych mocy.

Jeśli kiedyś potrzebował będziesz pomocy, powiedział Bacor tamtego dnia, nienaturalnie wykrzywiając swą wytatuowaną twarz, udaj się nad wielką rzekę Niger. Wiedz jednak, że pomoc udzielona zostanie tylko tym, których Baron uzna za godnych jej otrzymania.

Młody wówczas, dumny król Jorubów zbył starca szyderstwem. W odpowiedzi Bacor zagroził, że pewnego dnia Shango będzie musiał wybierać między samotną śmiercią a łaską Barona. Coś przeraźliwego musiało być w wytatuowanej twarzy Bacora i w jego głosie, gdyż król Jorubów poczuł nieokreślony lęk. Strach tak silny, że zapamiętał spotkanie z pustelnikiem na długie lata.

Z goryczą uśmiechnął się na wspomnienie. Zdał sobie sprawę, że Bacor miał rację.

* * *

Z każdym krokiem siły uchodziły ze starczego ciała. Chód stawał się coraz mniej równy i regularny. Nie spał od wielu godzin, każda część ciała domagała się snu.

Czarne niebo posępnie wisiało nad jego głową. Nieskończony, nieskazitelnym nieboskłon przytłaczał go swym ogromem. Czuł się jak zamknięta w klatce, pozbawiona celu i sensu życia istota, której jedynym zadaniem jest iść naprzód, wciąż naprzód, nieustannie stawiając ociężałe, powolne kroki, które .

Chciał się zatrzymać, choć na moment przestać poruszać nogami, usiąść na chłodnym

piasku pustyni, położyć się, oprzeć głowę na napiętych mięśniach zranionego ramienia, zanurzyć się w krainie snu, zatopić w miejscu słodkiego zapomnienia, pięknych, wyidealizowanych marzeń, pokrzepiających, gdyż nieziszczalnych koszmarów, legnąć w pustce, wstąpić w nieograniczoną czerń rozpościerającego się nad głową nieboskłonu...

Szedł dalej. Czuł, że traci panowanie nad swym ciałem, swą wolą.

Nieustannie zamykające się oczy obserwowały odległy horyzont, przestrzeń, w której błada pustynia jednoczyła się z ciemnością przestworzy.

Obraz stawał się coraz mniej realny, stapiał się z dającą złudzenie ukojenia ciemnością opadających powiek. Kręciło mu się w głowie. Nie szedł już po dobrze znanym świetle. Miał wrażenie, jakby znalazł się w iluzorycznej przestrzeni podobnej do świata, acz całkowicie odmiennej.

Spojrzał w wirujące niebo. Wyglądało tak, jakby chciało wchłonąć go w swe nieskończone czeluści, w swe...

Zalewający mrok złagodził upadek bezwolnego ciała.

Spadał wzdłuż wirującego tunelu. Do uszu docierały nieokreślone szумы, z początku ciche, niepokojąco narastały. Hałas zaczynał przybierać cechy ludzkiego głosu, który powoli, nieznacznie formował się w jedno słowo.

Shango... Sha-Shango...

Głos z każdą głoską stawał się bardziej namacalny, rzeczywisty, realny...

– Shango!

Otworzył oczy. Zdał sobie sprawę, że stoi, a w nogach czuje ogromną siłę. Całe zmęczenie i ból niespodziewanie zniknęły.

Stał przed wielką rzeką. Na drugim brzegu piętrzyło się olbrzymie drzewo o bujnej koronie.

– Shango!

Odwrócił się i ujrzał nagiego, pomalowanego białymi farbami mężczyznę. Obcy uśmiechał się, a nieskazitelna biel zębów błyszczała w mroku nocy. Jego oczy zdawały się iskrzyć. Hipnotyzowały.

– Już się kiedyś spotkaliśmy – powiedział niezwykle spokojnym głosem. – W twoim domu, nie pamiętasz? – dodał po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Nie... – z trudem wysapał Shango.

– Zaprosiłeś mnie – rzeczowo zapewnił mężczyzna. – Nie mam w zwyczaju pojawiać się tam, gdzie mnie nie chcą.

Starzec milczał.

– Potem spotkaliśmy się ponownie. – Wzrok nagiego mężczyzny niepokojąco śledził oczy Shango. – W osadzie, kiedy cię sądzono.

– Nie widziałem cię.

– A jednak tam byłem. Słyszałem twoją przemowę, twoje pożegnanie. Słyszałem też wyrok, którym cię obarczono.

Shango poczuł, jakby coś cienkiego wwiercało się w jego czaszkę. Ból stopniowo narastał.

– Kim jesteś?

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

– Baronem – jego głos sprawiał wrażenie niezwykle rozbawionego. – Baronem sprawiedliwym, niemogącym pogodzić się z tym, jak cię potraktowano.

Shango milczał, ból głowy nieustannie narastał.

– Przybyłem, aby ci pomóc – podjął Baron po chwili. – Chcę dać ci moc, dzięki której Jorubowie na powrót staną się twymi podwładnymi. Chcę obdarować cię potęgą, jakiej nie posiadał dotąd człowiek. Żaden żywy człowiek.

Ostatnie słowa Barona poniosły się echem w głowie starca. Echem przybierającym na sile z każdym powtórzeniem, natarczywie objającym się o ścianki czaszki i potęgującym potworny ból.

– Żaden... żywy człowiek?

– Oczywiście, tak jak powiedziałem – ucieszył się Baron. – Myślałeś sobie może, że wrota do Guédé stoją otworem dla zniewolonych ziemskimi okowami dusz?

– Co... co masz na myśli?

– Nic, poza tym, że abym mógł ci pomóc, musiałbyś pozbyć się krępujących cię więzów. Węzów niepozwalających wzbic się w przestworza poznania, wzlecieć ku nieprzepastnym otchłaniom wiedzy, dzięki którym dostrzegłbyś marność tego, co w swej rozczulającej naiwności nazywasz życiem.

– To znaczy, że...

– ...że chcąc coś zyskać, musisz najpierw dać coś w zamian. Coś śmiesznie wręcz błahego i nieporównywalnie mniej wartościowego.

– Czyli co?

– No cóż, swoje życie – powiedział Baron z rozbrajającą szczerością. – Ale – dodał po chwili równie niefrasobliwie – do niczego, rzecz jasna, nie zmuszam. Mogę odejść z równą

łatwością, z jaką się tu pojawiłem. Wystarczy...

– Czekaj... – wykrztusił starzec, zatrzymując mężczyznę w pół kroku. Chciał zdobyć choć chwilę, by móc się zastanowić.

Baron odwrócił się i spojrzał na niego lekko rozbawionym wzrokiem.

– Więc...? – zapytał.

Podjęcie decyzji nie zajęło Shango dużo czasu, bo i cóż, poza perspektywą rychłej śmierci z wycieńczenia, mógł stracić?

– Co muszę zrobić? – wykrztusił, próbując przezwyciężyć ból głowy. – Co muszę zrobić, by na powrót stać się królem mego plemienia?

Śmiech Barona potoczył się po pustyni, zagłuszył szum rwącej rzeki.

* * *

Stał nad brzegiem rzeki, obserwując spowalniający nurt. Zanurzył w wodzie jedną nogę, później drugą. Woda była ciepła, kojąca.

Starzec brnął po miękkim mule, stawiając krok za krokiem, coraz głębiej i głębiej. W końcu oderwał nogi od dna, resztę drogi pokonując wplaw.

Kiedy wyszedł na drugi brzeg, zdał sobie sprawę, że jego skóra jest sucha.

Podszedł do stojącego nieopodal, ogromnego drzewa. Wspiął się na grubą gałąź, do której przywiązana była lina. Zwinął ją i zaplątał na końcu pętlę. Zarzucił stryczek na szyję i bez wahania ześlizgnął się z gałęzi.

Umierając, zastanawiał się, czy stojący naprzeciwko mężczyzna jest prawdziwy, czy też stworzony został przez wyobraźnię dogorywającego starca.

* * *

Trup bezwładnie huśtał się na naprężonej linie. Do pasa przywiązaną miał tykwę, którą na znak wygnania otrzymał od swego plemienia.

Mężczyzna zbliżył się do trupa. Uniósł jego zwiotczałą głowę i rozpoznał w niej swą własną twarz.

Obojętnie wypuścił z rąk głowę wisielca, po czym odwiązał wiszącą u jego pasa tykwę. Powierzchnia wirowała pod palcami, łaskotała opuszki. Mężczyzna spojrzał w szyjkę naczynia. Nie dostrzegł dna, lecz czuł tchnący z niej mrok.

Szyjka rozszerzała się powoli. Mężczyzna poczuł, że tchnąca z wnętrza ciemność przyciąga go.

Usłyszał dobrze znany głos.

– Stary Shango! Trzykrotnie zawiodłeś nas na polu bitwy. Trzykrotnie wróg zdeptał nasze siły i trzykrotnie zmuszeni byliśmy do haniebnej ucieczki. Odpowiedzialność za porażkę plemienia spada na ciebie, Shango, gdyż królem naszym i władcą chlubnie się mienisz. Shango, jesteś już stary, twoja chwała przeminęła i nie nadajesz się już na wodza. Shango! Nie jesteś już królem Jorubów! Twoja władza odeszła po przegranych bitwach z Fonami. Shango! Nie jesteś już królem Jorubów! Twoja siła nie jest już godna króla, dlatego ja, Ogun, syn Oronjanga, brata twego, zgodnie z wolą wojowników i całego plemienia, przejmuję twoje obowiązki jako władca. Shango! Nie jesteś już królem Jorubów! Odtąd twoja królewska małżonka moją małżonką się stanie, a me nasienie w niej da podwaliny dla nowej dynastii królów. Shango, skazuję cię na wieczne wygnanie z plemienia Jorubów. Już nigdy nie waż się wracać ciałem ani duchem do naszych ziem, w innym wypadku ja sam, Ogun, syn Oronjanga, przebiję twoje serce tą oto włócznią! Shango, byś po wsze czasy pamiętał o swej hańbie i banicji, wręczam ci tę tykwę. Shango, opuść nasze plemię aż po kres czasów!

Shango stał na podeście usadowionym pomiędzy dwoma słupami ognia. Dookoła stłoczone było całe plemię Jorubów.

– Wróciłem – wyszeptał. – Wróciłem.

Triumfalnie uniósł ręce w górę. Bładoniebieska błyskawica zaryczała w powietrzu i uderzyła niedaleko podestu, na którym stał.

– Jorubowie! – wrzasnął Shango, przekrzykując powstały gwar. Jego , groźny głos przestraszył ludzi bardziej niż grzmot. – Wygnaliście mnie, lecz oto wracam z mocą godną boga i władcy! Od teraz posłuszni mi będziecie i wierni, gdyż oto stajecie się moją armią, moimi podwładnymi i moimi sługami aż po krańce czasu! Jorubowie, za swą niewierność wobec władcy skazuję was na wieczne zawieszenie pomiędzy życiem a śmiercią w służbie swemu panu!

Wyciągnął przed siebie rękę, w której wciąż trzymał tykwę. Jorubowie w przestraszu patrzyli na starca. Nikt nie był w stanie nic wykrztusić.

Shango wiedział, że jedynie on widzi bladą poświatę, wypływającą z głowy każdego Joruba. Niewielkie obłoczki wleciały ponad nich, a następnie złączyły się i stały jednością. Poświata wisiała przez chwilę nad ludźmi, po czym poszybowała w kierunku ręki Shango i bezgłośnie wślizgnęła się do tykwy.

W tym momencie zaczęli wrzeszczeć.

Shango z triumfem obserwował twarze, które z początku stały się obwisłe, by po chwili skurczyć się i wyschnąć, ciasno przywierając do czaszki. W miejscach, w których naciągnięta skóra pękła, ukazywało się zgniłe, ociekające zielonobrunatną mazią mięso. Gałki oczu wypływały na zewnątrz, jakby stopione pod wpływem gorąca, i ściekały wzdłuż zmasakrowanych twarzy. Niektórzy z Jorubów drapali rany, a zdzierana skóra zostawała im w palcach.

Stojący na podeście triumfator sycił wzrok cierpieniem ludzi, którzy go zdradzili. W pewnym momencie nie potrafił się opanować i wybuchnął śmiechem.

Barki Jorubów zwiotczały, nogi uległy groteskowym deformacjom. Wrzask wzmógł się, kiedy skóra zaczęła pękać już nie tylko na twarzy, ale i na całym ciele.

Nieustannie śmiejący się król obserwował agonalny taniec swych poddanych. Kłębili się, tworząc jedną, wielką masę gnijących, acz wciąż żywych ciał. Transformacji nie ulegała tylko jedna osoba.

Oya klęczała pośrodku płasających ciał i energicznie potrzasała ścisną między dłońmi głową. Miała zamknięte oczy i wrzeszczała najgłośniejsze ze wszystkich. Shango delectował się widokiem swojej żony.

Po pewnym czasie wrzask Jorubów zamarł. Król rozejrzał się dookoła. Otaczało go stado zgniłych ciał, tępo wpatrzonych w niego pustymi oczodołami.

– Shango? – płaczliwie odezwała się powoli wstająca z kolan Oya. – Shango?

Król spojrział na nią z rozbawieniem.

– Słucham, moja kochana i, jak się okazało, niemniej kochająca, żono?

– Co tu się... Shango, co...

Starzec wydał usta w pełnym pogardy uśmiechu.

– Właśnie pouczam swych poddanych o konsekwencjach niewierności. Może chciałabyś dodać coś na ten temat?

– Shango, ja nie... ja nie, nie rozu...

Król pogardliwie machnął ręką.

– Nieważne – powiedział i rozejrzał się. Skierował wskazujący palec na żonę. – Smacznego.

Oya z początku nie rozumiała. Patrzyła tylko wytrzeszczonymi oczyma na swego męża. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że zgniłe ciała powoli, acz stanowczo, zbliżają się do niej.

Wrzasnęła.

Jedno z ciał chwyciło jej rękę i mocno wgrzyzło się w przedramię. Następne ugryzienie poczuła na udzie. Kolejne szczęki odgryzły całą pierś.

Męka kobiety nie trwała długo. Kiedy zwała się na ziemię, spomiędzy nóg Jorubów, na czworakach zbliżyło się do niej dziecięce ciało. Chłopiec łapczywie wyszarpał krtań i z powrotem zniknął między nogami współplemieńców.

Shango, z podziwem spoglądając na potęgę, którą zdobył, zastanawiał się, w jaki sposób ją wykorzystać. W pierwszej chwili pomyślał o plemieniu Fonów, które w ostatnich potyczkach odniosło nad nimi szereg zwycięstw. Tak, uznał Shango, to dobry początek.

A później?

A później...

Nagle usłyszał w głowie głos spotkanego na pustyni Barona. Głos powiedział mu o złym, białym ludzie mieszkającym na północy, który z chciwością zagarniał i plądrował leżące na północnym brzegu plemiona. Odległy, zimny ląd na północy, oddzielony wielką wodą. Ląd, który zrodził plemię chciwych odkrywców – oprawców, tworzących z podbitych szczepów kolonie niewolników oraz niosących nową religię misjonarzy, cynicznie głoszących wiarę w wybawienie... ale dopiero po śmierci.

Patrząc na swych podwładnych, zaśmiał się na tę myśl.

Zakrzyknął donośnie, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Kiedy ciała spojrzały na niego pustymi oczodołami, wyciągnął przed siebie rękę, wskazując Jorubom kierunek marszu, kierunek ekspansji.

Kierunek na północ.



BIAŁA NIENAWIŚĆ

Bohdan Waszkiewicz

Brnąłem przez tłumy na Seven Sisters niczym myśliwy pokonujący gęstwinę leśną, z tą różnicą, że na nic nie polowałem. Towarzyszył mi Henry, który sprawnie rozpychał się między płynącą rzeszą ludzi. Mijaliśmy przechodniów i dziesiątki małych sklepików, rozsianych wokół jednej ze stacji londyńskiego metra. Można tu było kupić wszystko: od suszonego mięsa afrykańskich kóz po kolumbijską kokainę czy nawet gnata – jeśli ktoś się tylko dobrze zakręcił. Wieczorem na placu pojawiały się prostytutki, które przy słabej koniunkturze potrafiły dać dupy za dwadzieścia funtów, a nad ranem czasami za połowę tej kwoty. Dzielnica została rozbudowana i zasiedlona głównie przez przybyszów z Karaibów, ale mieszkali tutaj również Afrykanie, Irlandczycy i emigranci ze Wschodniej Europy oraz

Południowej Ameryki. Okolica nie cieszyła się dobrą sławą, choć mnie nigdy nie spotkało tutaj nic złego.

Na chwilę wybiegłem myślami w przeszłość; wspominałem przyjazd i niektóre fakty, które wydarzyły się wraz z początkiem pobytu w stolicy Anglii.

Dwa lata wcześniej opuściłem ojczyznę i wylądowałem na lotnisku w Stansted. Po przybyciu do Londynu zamieszkałem w niewielkim pokoju, który wynająłem od jakiegoś grubego Żyda. Takiego w dziwnym wdianku, z długimi pejsami oraz kipą na środku głowy.

– Ja throche mówić i rozumieć po polsku. Moja babhcia mieszkała przed wojna pod Krakowia – powiedział zmutowaną polszczyzną, po czym opuścił moje skromne progi. Potem widywałem go raz w miesiącu, kiedy z zapalem przeliczał pieniądze za wynajem.

Tydzień później zatrudniłem się jako barman w pubie. Pracowałem blisko mojego mieszkania, co w tak ogromnej metropolii nie było wcale łatwe do zrealizowania. Bardzo mi to odpowiadało, nie tylko ze względu na koszty, ale również dlatego, że wtedy jeszcze dość słabo znałem miasto.

Wszelkie bary, puby czy kluby mają to do siebie, że poznaje się tam wielu ludzi. Niektórych spotykasz tylko raz, a innych widzisz niemal codziennie. Do tej drugiej kategorii klientów należał Henry Bang. W gronie znajomych nazywany Big Bang, a to z powodu prawie dwóch metrów wzrostu i sporej nadwagi. Oprócz tego wyróżniała go głowa zawsze ogolona na zero i błyszcząca w słońcu niczym karoseria samochodu, który właśnie wyjechał z myjni. Henry sześć lat temu wyemigrował z Kamerunu. W swojej ojczyźnie ukończył geodezję, a w Londynie pracował jako operator wózka widłowego w jednym z magazynów Tesco.

– Ale jeszcze kiedyś wrócę do kraju i będę pracował w zawodzie – zarzekał się niejednokrotnie. – Po prostu czekam na właściwy moment.

– To tak jak ja! – odpowiadałem zazwyczaj w ten sam sposób, po czym rzeliśmy jak konie na widok siana.

Któregoś wieczoru Bang wspomniał, że śpiewa w kapeli, którą utworzył wraz z kilkoma Jamajczykami. Ucieszył się, kiedy opowiedziałem o swojej muzycznej przeszłości w zespole reggae. Szczęśliwym zrzędzeniem losu brakowało im jednego gitarzysty, bo poprzedni właśnie przeniósł się do Birmingham.

Nie mogłem, a przede wszystkim nie chciałem odmówić.

I tak od ponad roku grałem w zespole, a i pracę zmieniłem na ciekawszą. Dzięki znajomościom Andy'ego, naszego perkusisty, otrzymałem etat w sklepie muzycznym na

Camden Town. Nie dość, że lepiej zarabiałem, to zajmowałem się tym, co najbardziej lubiłem robić: muzyką. Rzadko graliśmy koncerty, więc praca sprzedawcy stanowiła moje główne źródło utrzymania.

– Bob, słyszysz mnie? – Głos Henry'ego wyrwał mnie z zamyślenia. – Co? Znowu myślisz o niej?

Nie tak dawno temu miałem narzeczoną, Martę, którą kochałem jak nikogo innego na świecie. Każdego dnia tęskniłem za nią. W międzyczasie byłem kilka razy w Polsce, żeby zobaczyć moją kobietę, poczuć jej zapach. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, dlaczego odkładała przyjazd do Wielkiej Brytanii. Ciągłe słyszałem jakieś wymówki: a to problemy zdrowotne jej ojca, a to szlifowała angielski, a to to, a to tamto. W końcu zakomunikowała mi telefonicznie, że poznała kogoś. Nawet się nie zająknęła, mówiąc mi o tym. Rozryczałem się jak bóbr, prosiłem, błagałem, żeby mnie nie zostawiała. Usłyszałem coś o płaczącym mięczaku, a potem słowa, które obijały mi się wewnątrz czaszki przez kilka miesięcy: *Seks z każdym facetem, z jakim cię zdradziłam, był o wiele lepszy niż z tobą*. Zareagowałem wiązką zmyślnych przekleństw i wyzwisk. Dopiero po kilku minutach zauważyłem, że Marta rozłączyła się dużo wcześniej. Wpadłem w szal i rzuciłem komórką o ścianę mojego pokoju. W ten sposób nowusieńka Nokia dokonała żywota.

– Nie, nie myślałem o niej – skłamałem.

Swój skromny dobytek – samochód, gitarę wraz z nagłośnieniem oraz szafę płyt kompaktowych i książek – zostawiłem narzeczonej. Olałem to. Po jakimś czasie uczucie miłości zastąpiła nienawiść, co wyraziłem spaleniem kilku fotografii Marty i bluzgami pod jej profilem na Facebooku. Teraz nawet nie wiedziałem, co się z nią działo, bo w kraju nie pojawiłem się od ponad ośmiu miesięcy. Ona z kolei zmieniła numer telefonu i przestała odpowiadać na maile.

Henry spojrzał na mnie wymownie.

– No, dobra – westchnąłem. – Pomyślałem, że fajnie by było, jakby spadła ze schodów i skręciła sobie kark.

To z powodu Marty jechałem przez kilka miesięcy na kokainie, do tego suto zakrapianej alkoholem. Tylko dzięki zamiłowaniu do muzyki i pomocy kolegów z zespołu, a przede wszystkim Henry'ego, wyszedłem z tego gówna. Od dłuższego czasu nie miałem do czynienia z prochami. No, może nie tak do końca, ale w każdym razie przestałem być niewolnikiem używek. I co najważniejsze, znowu polubiłem życie.

– Daj spokój, kolego. – Poklepał mnie po ramieniu wielką jak łopata dłonią. – Jest tyle dziewczyn, tylko popatrz. Weź sobie jakąś, w końcu masz już ponad trzydzieści lat.

Rozejrzałem się wokół i rzeczywiście, zauważyłem sporo kobiet. Jedną grubszą od drugiej. Niezależnie od koloru skóry, wszystkie łączyła wspólna cecha: otyłość. Henry'emu, jako Afrykaninowi, nie przeszkadzało to w ogóle.

– Widzisz, jak laska ma trochę dużo tu i ówdzie, to zdrowe dzieci rodzi – wyjaśniał, lśniąc białymi jak śnieg zębami, które kontrastowały z jego czarną twarzą. – Poza tym przyjemnie jest się do takiego ciała przytulić.

Zawsze mu wierzyłem i ufałem, ale w tym jednym przypadku miałem odmienną opinię. Parsknąłem ironicznie, nie komentując słów Henry'ego. Zresztą nie było takiej potrzeby, bo doskonale znał moje zdanie na ten temat.

Jak co czwartek wieczór wracaliśmy z próby. Zawsze docieraliśmy razem do stacji metra, a potem każdy z nas podążał w swoim kierunku: Bang jechał na Wood Green, a ja dreptałem do domu na Stamford Hill.

– Ty, Big Bang. Zaczekaj moment – odezwał się ktoś za nami.

Zatrzymaliśmy się. W naszym kierunku szedł jakiś czarny mężczyzna. Był o głowę niższy od Henry'ego, a na jego czuprynie kłębiły się dredy, podobnej długości do moich, tyle tylko, że zupełnie siwe. Sięgały do ramion i częściowo zasłaniały przebiegającą po czole długą bliznę. Miałem trudności z oceną wieku mężczyzny, bo pomimo siwych włosów i twarzy poranej zmarszczkami wydawał się muskularny i biła od niego młodzieńcza witalność. Ale w jego wyglądzie najbardziej zwracały uwagę błękitne oczy. Wcześniej nie widziałem czegoś takiego u żadnego czarnego.

– Wporzo, King Richie? – przywitał się Bang.

– Ta. Musimy pogadać – odparł i zmierzył mnie wzrokiem. – Na osobności.

– Dobra – zgodził się Henry, po czym rzekł do mnie: – Robert, jak chcesz, to idź.

– Zaczekam. – Uspokoilem go ruchem dłoni. – Nigdzie mi się nie spieszy.

Oddalili się o kilka kroków, a ja usiadłem na murku okalającym niewielki trawnik. Obok przechodziło właśnie dwóch moich rodaków: spodnie dresowe Adidasa, bluzy Lonsdale, głowy ostrzyżone na zero. Kiedy mnie mijali, usłyszałem fragment toczonej przez nich rozmowy.

– Widziałeś tego brudasa? To Polak, ale z czarnuchami trzyma – powiedział ściszym głosem wyższy z nich, znacznie mniej napakowany sterydami od swojego towarzysza.

– Żartujesz? Co za chuj – skwitował ten, którego łatwiej było przeskoczyć niż obejść. Nawet nie zrobiło mi się przykro. Przywykłem, bo, jak mawiał jeden z moich kolegów, któremu nie udało się uciec przed zasadniczą służbą wojskową: „Pierwsze prawo fali – jebać ziomali”.

Chwilę potem wyrósł przede mną Henry.

– Nie rozumiem, czemu czekałeś na mnie? Przecież i tak zaraz mam pociąg.

– Bo chciałem cię zapytać o tego gościa – odpowiedziałem. – Wydawał się jakiś taki dziwny. Kto to?

– King Richie? Stary przyjaciel, kiedyś mieszkaliśmy obok siebie. – Pokazał palcem kierunek. – Tam, zaraz za Tesco.

– Mieszkałeś na Seven Sisters? – Zdziwiło mnie to. Taki duży i grzeczny chłopiec jak Henry w dzielnicy gangów i dilerów?

– Tylko przez rok. Moje początki w Londynie nie należały do łatwych... Jakoś trzeba było sobie radzić. – Na twarzy Banga pojawił się wyraz zakłopotania.

– Łapię. – Postanowiłem na razie nie wnikać w przeszłość przyjaciela. – A ten Jamajczyk, to kto? Nie wyglądał na sympatycznego faceta.

– Nie jest Jamajczykiem, tylko Haitańczykiem – sprostował. Jego mina błyskawicznie przybrała poważny wyraz. – Zajmuje się magią. Jest kapłanem voodoo.

– Henry, mój przyjacielu. – Uśmiechnąłem się pobłaźliwie. Takie opowieści traktowałem z przymrużeniem oka. Szczególnie po tym, jak kiedyś usłyszałem od pewnego Kenijczyka, że mężczyzną w jego ojczyźnie stawał się ten, kto gołymi rękami udusił lwa. – Poważnie pytam.

– A ja poważnie odpowiadam. – Ton jego głosu świadczył o tym, że nie żartował. – King Richie ma wielką moc. Z jego usług korzysta wielu ludzi z Karaibów i Afryki. Potrafi skutecznie dokonać zemsty na złych ludziach. Sam wiem, bo... – przerwał, po czym zagryzł wargę.

Wierzyłem mu. Chciałem zadać jeszcze kilka pytań, ale nie wystarczyło czasu. Pożegnaliśmy się, a czarny wielkolud wkrótce zniknął w podziemiach metra.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Ciągle miałem przed sobą obraz niebieskookiego mężczyzny. Do głowy przyszedł mi pewien pomysł, choć wprowadzenie go w życie mogło być trudne. A na pewno niemożliwe bez pomocy Henry'ego.

W końcu zasnąłem.

Śniły mi się przerażające, ciemne postaci, jakby żywe cienie. Wszystko to przeplatało się z dziwnymi rytuałami, których nie widziałem nigdy wcześniej. Byłem świadkiem śmierci młodego Afrykanina, rozszarpanego przez ogromnego lwa. Przyjrzałem się drapieżnikowi:

miął niebieskie, ludzkie oczy. Zwierzę jednym kłapięciem wielkich szczęk odgryzło nieszczęśnikowi głowę, po czym uderzyło w nią łapą. Czerep wolno potoczył się w moją stronę. Po chwili przeniosłem wzrok na leżącą u stóp zakrwawioną głowę. I zamarłem z przerażenia.

Obudziłem się zlany zimnym potem. Z objęć Morfeusza wyrwał mnie mój desperacki krzyk.

– Kurwa, co za pojebany sen – wymamrotałem ledwie słyszalnie. Głośniej, i do tego w szalonym tempie, waliło moje serce. Przez chwilę myślałem, że przekręcę się na zawał. Zdawałem sobie sprawę, że po takiej ilości dragów, jaką przyjąłem w przeszłości, moja pompka nie działała już tak sprawnie. W końcu uspokoiłem się, a tętno przestało przypominać mysie.

Wytarłem dłonią spoconą twarz, po czym spojrzałem na zegarek: za cztery godziny musiałem wstawać do pracy. Wtuliłem twarz w poduszkę z mocnym postanowieniem szybkiego zaśnięcia. Każdy późniejszy szmer lub inny cichy odgłos dobiegający gdzieś zza okna powodował, że natychmiast sztywniałem i wyęczałem słuch, jednocześnie bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. W ten sposób nie zmrużyłem już oka aż do rana.

Jakoś przetrwałem dzień w pracy, wypijając hektolitry kawy i przemywając regularnie twarz lodowatą wodą. Półprzytomny opuściłem sklep.

W drodze do domu postanowiłem zadzwonić do Henry'ego. Zaproponowałem mu wieczorne spotkanie w pubie, na co, nie kryjąc zaskoczenia, wyraził zgodę. Wiedział, że od kiedy przestałem pracować jako barman, rzadko odwiedzałem takie miejsca w środku tygodnia. Z kolei ja tłumaczyłem to przesytem.

Kiedy dotarłem do mieszkania, runąłem jak długi na posłanie. Między drzwiami a łóżkiem udało się zrzucić buty, natomiast reszta ubrań pozostała na moim ciele. Tym razem zasnąłem w mgnieniu oka.

– No, o co chciałeś zapytać? – zainteresował się Henry po wypiciu kilku łyków stelli. – Gadaj, bo widzę, że się kręcisz, jakbyś miał hemoroidy.

Rozejrzałem się. W pubie, prócz nas, było jeszcze tylko trzech klientów i barmanka,

która, znudzona, żuła gumę i obmacywała kolczyk wkluty w jej brew. Z głośników dochodził przecpany głos Cobaina śpiewającego *Come as you are*, a za oknem roztaczał się wspaniały widok na zalewaną strugami deszczu jezdnię i stojące w korku samochody.

– Wiesz – zacząłem – myślałem o twoim przyjacielu. Jak mu tam? O King Richie.

– Tak? A co z nim?

– Chciałbym, żeby mi pomógł – wycodziłem ostrożnie, powoli, niemal sylabę po sylabie.

– Już rozumiem. – Uśmiechnął się ironicznie, po czym dodał: – Zapomnij o tym. Nie ma takiej możliwości.

– Dlaczego? – zapytałem, nie kryjąc zdziwienia. – Tobie też kiedyś pomógł, prawda?

– Ale to było co innego. – Bang sprawiał wrażenie zdenerwowanego. – Stare czasy, nie chcę do tego wracać. Poza tym jest jeszcze inna przeszkoda. King Richie nie zechce ci pomóc.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Bo, kurwa, jesteś biały!

Zaskoczył mnie. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszałem przekleństwo z ust Banga. Odczekałem chwilę, aż się uspokoił, po czym ponownie podjąłem temat.

– I ty mi to mówisz? Ty, piewca antyrasizmu i światowego braterstwa? To po co piszesz te piosenki, skoro to wszystko gówno warte? Tobie pomógł, bo jesteś czarny, a mi nie pomoże, bo jestem biały. Tak?! – Kończąc wypowiedź, niemal krzyknąłem. W każdym razie mimowolnie podniosłem głos.

Henry rozdziawił się, chcąc coś powiedzieć.

– Do dupy z tym – uprzedziłem go. – Nie chcesz zapytać, to nie.

Milczeliśmy przez dobrych kilka minut. Obserwowałem kręcące się śmigło ściennego wentylatora, a mój przyjaciel wlepił wzrok w wypełnioną do połowy złocistym płynem szklankę.

– Dobra. – Niski głos Henry'ego wreszcie przerwał polsko-kameruńskie zawieszenie stosunków dyplomatycznych. – Pogadam z nim, ale nic nie obiecuję

– Dzięki, stary. – Uderzyłem szklanką o jego szklankę. – Na zdrowie.

Przebieg rozmowy tak wzmógł nasze pragnienie, że osuszyliśmy naczynia do dna.

– Teraz moja kolej – przypomniałem mu, po czym udałem się do baru.

Po chwili powróciłem z dwoma piwami w dłoniach.

– Aż tak bardzo jej nienawidzisz? – usłyszałem.

– Henry, tak naprawdę to mam jednego wroga. Nazywa się Marta.

Pokiwał łysą głową ze zrozumieniem. Tego wieczoru nie wracaliśmy już do poruszonego wcześniej tematu. Wypiliśmy jeszcze następną kolejkę i rozeszliśmy się do domów.

Minęły trzy dni od naszej ostatniej rozmowy. Skończyliśmy próbę i właśnie szliśmy po wąskim chodniku. Nie przypominałem o obietnicy złożonej przez Henry'ego, choć świerbił mnie język. Rozmawialiśmy o muzyce i o przyszłości naszego zespołu: co poprawić, gdzie przydałoby się zagrać jakieś solo i że perkusista grał jak zwykle równusieńko niczym idealnie zaprogramowana maszyna.

Bang kiwał z zadowoleniem głową, aż w końcu odezwał się:

– Gadałem z King Richie. Zgodził się.

– Co? Tak? – Oczy powiększyły mi się, jak po wciągnięciu grama prochu. Byłem zaskoczony, bo oczekiwałem raczej odmownej odpowiedzi. – Naprawdę? – dopytywałem jak dziecko, które dowiedziało się, że to nie bocian roznosi wrzeszczące noworodki.

– Ta. – Potwierdził skinieniem głowy, niezrażony moim głupawym zachowaniem. – Jestem zaskoczony, że zgodził się tak łatwo. Myślałem, że jak mu powiem... no wiesz – zawahał się – że jesteś biały, to mnie na kopach pogoni. A on się tylko uśmiechnął i zapytał o szczegóły twojej sprawy. No, a potem powiedział, że pomoże.

– Czego chce w zamian? – zapytałem. Nawet nie wiedziałem, czy jestem w stanie zapłacić oczekiwaną sumę pieniędzy.

– Niczego. On nie może niczego od ciebie żądać. To już twoja sprawa, jak mu zapłacisz.

– Jak to?

– Według naszych wierzeń kapłan nie może żądać zapłaty, bo utraci przez to swoją moc – wyjaśnił. – Widzisz, ludzie często myślą, że voodoo to religia zła. Coś jak satanizm czy kult Seta. A voodoo to rytuał, który pomaga ludziom o czystych sercach zemścić się na swoich prześladowcach. Stąd zresztą taka popularność voodoo na terenach, gdzie kiedyś kwitło niewolnictwo. Na początku biali nie potrafili znaleźć odpowiedzi na tajemnicze zgony brutalnych zarządców. Potem, kiedy domyślili się wszystkiego, każdy czarny podejrzany o zajmowanie się voodoo ginął w strasznych męczarniach.

– Rozumiem, że to ja jestem tym koleśkiem o czystym sercu?

– Jesteś, Bob, jesteś – powiedział, po chwili dodać: – Pamiętaj,

voodoo to wzmacniacz nienawiści. A nienawiść, podobnie jak miłość, ma ogromną moc. Kapłan tylko przekazuje ją duchom, które dokonują reszty.

– Nadal nie wiem, jak mam mu zapłacić?

– Zamów mu pizzę z tuńczykiem. Uwielbia ją. – Henry uśmiechnął się. – Tylko jakąś dobrą, najlepiej z „Domino Pizza”. Aha, jeszcze jedno – przypomniał sobie. – Będzie potrzebne jakieś zdjęcie Marty, a ty, zdaje się, wszystkie spaliłeś?

– Może jedno się znajdzie. – Odniosłem wrażenie, że moje policzki rozgrzały się do stu stopni Celsjusza.

Bang wybuchnął gromkim śmiechem. Poczulem przyjacielskie uderzenie w plecy, które na moment pozbawiło mnie tchu.

Spotkaliśmy się tydzień później pod wskazanym przez Henry'ego adresem. Dom stał samotnie, otoczony kilkoma drzewami i wyglądał na bardzo zaniedbany. Odpadał z niego tynk, a szyb w oknach nikt chyba nie mył od wielu lat. Trawnik przed budynkiem pokrywały kilogramy śmieci i niedopałków. Z kolei na podjeździe straszyl zardzewiały vauxhall, którego ktoś pozbawił dwóch kół oraz tylnej klapy. Auto prawdopodobnie spełniało rolę kociej kryjówki, o czym świadczył intensywny zapach moczu.

– Zapukaj trzy razy – poinstruował Big Bang. – Ja zaczekam tutaj. W rytuale mogą wziąć udział tylko kapłan i rzucający kłtwę.

Podszedłem do drzwi i wykonałem polecenie przyjaciela. Po chwili usłyszałem kroki, a wkrótce w drzwiach pojawił się niebieskooki. Zaprosił mnie ruchem głowy do środka.

Wnętrze domu było ciemne i ponure. Ze ścian odpadała brudna tapeta, a na podłodze spostrzegłem przemykające karaluchy. Kiedy mijalem kuchnię, mój nos zaatakował obrzydliwy fetor. Rozejrzałem się, szukając źródła smrodu. Zauważyłem w zlewie stos brudnych naczyń, które pięły się ku górze niczym biblijna Wieża Babel.

Wreszcie dotarliśmy do przestronnego pokoju, oświetlonego dziesiątkami świec. Na środku pomieszczenia stał okrągły stół, a na nim porzewiała klatka z uwięzionym kogutem i metalowa misa. Ściany, sufit oraz podłoga były pokryte mnóstwem nieznanym mi symboli, rysunków i znaków. Okna szczelnie zasłonięto czarnymi płachtami.

– Mam dla ciebie pizzę. – Podałem pudełko trzęsącymi się rękami.

– Uwielbiam zapach tuńczyka. – Wciągnął głośno nosem powietrze do płuc. Po chwili otworzył karton i poczęstował mnie trójkątem pizzy. – Zjemy po kawałku, a potem zabieramy

się do roboty – oznajmił spokojnie.

Podczas krótkiego posiłku nie spuszczał mnie z oczu. Czułem, jak jego wzrok wręcz przeświewa mnie niczym promienie rentgenowskie. Kiedy przełknął ostatni kęs, zapytał:

– Chcesz rzucić klątwę na kobietę, która cię zraniła? A nie prościej pójść do burdelu?

– Prościej, ale co to za kara? – skontrolowałem.

– A jakiej kary dla niej wymagasz? Śmierci? – Skrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

– Nie. Po prostu chciałbym, żeby przez rok cierpiała. Tak jak ja.

– Rozumiem. – Pokiwał głową, po czym dodał: – Śmierć to żadna kara, to wybawienie.

Twój wybór jest jak najbardziej słuszny.

– Dzięki, że zgodziłeś się mi pomóc.

– Pomagam, bo Big Bang poręczył za ciebie. A poza tym nigdy nie robiłem tego wspólnie z białasem. – Roześmiał się. – Można to uznać za awans zawodowy.

Otworzył skórzaną torbę. Wyjął z niej zakrzywiony sztylet oraz kilka nasion i zasuszonych roślin, a na koniec położył na stole porcelanową szkatułkę. Czarna i pokryta czerwonymi symbolami, była mniej więcej wielkości kostki masła. King Richie uniósł wieczko. Pojemnik zawierał jakąś fosforyzującą zieloną masę, przypominającą konsystencją galaretę. Zanurzył w niej wskazujący palec, a potem naniósł na swoje czoło jakieś znaki lub litery. Następnie zrobił to samo z moją twarzą; poczułem lodowaty chłód zielonej masy oraz delikatny zapach mięty.

– Stań tutaj. – Pokazał palcem miejsce obok stołu. – W tym kręgu. I nie wychodź z niego aż do końca rytuału. I daj mi jej zdjęcie.

Bez słowa wykonałem polecenie. Kapłan nawet nie spojrział na fotografię, tylko od razu wrzucił ją do naczynia.

– Teraz wystaw rękę. Będzie potrzebna twoja krew.

Przez chwilę chciałem zaprotestować, ale zdałem sobie sprawę, że to bez sensu. Kiedy poczułem piekący ból dłoni, syknąłem cicho i bezwiednie zamknąłem oczy. Chwilę potem otworzyłem je i ujrzałem, jak strużka krwi ścieka ze zranionej ręki do miski. King Richie podał mi bandaż, jednocześnie przytknął palec wskazujący do ust, nakazując milczenie. Szybko zrobiłem prowizoryczny opatrunek, nie przerywając uważnej obserwacji tego, co działo się wokół.

Kapłan otworzył klatkę, po czym wyciągnął z niej koguta. O dziwo, ptak zachowywał się zupełnie spokojnie. Mężczyzna począł mamrotać coś w nieznanym mi języku. Mówił coraz głośniej i głośniej, aż w końcu jego słowa przerodziły się w krzyk. I wtedy, jednym ruchem ręki, podciął kogutowi gardło. Trzymane za skrzydła zwierzę podskakiwało

w śmiertelnym tańcu, a jego krew trafiała nie tylko do naczynia, ale bryzgała również na boki, plamiąc ubranie szamana i brudząc jego twarz. King Richie co jakiś czas dorzucał do miski nasiona lub brązowe liście, nawet na chwilę nie przestając zawodzić, jęczeć i śpiewać dziwną pieśń. Za każdym razem, kiedy w naczyniu znalazły się zasuszone rośliny, kapłan mieszał ciemny roztwór pazurami dogorywającego koguta.

Straciłem rachubę czasu, a wrzaski zaczęły przyprawiać mnie o ból głowy.

King Richie zamilkł i podał mi naczynie, wypełnione do połowy ohydnie wyglądającą breją.

– Pij! – wrzasnął, po czym cisnął martwym ptakiem o podłogę.

Spojrzałem na niego błagalnym wzrokiem.

– Pij! – krzyknął jeszcze głośniej. – Albo dziewczynie nic się nie stanie.

Chciałem zaprotestować, powiedzieć, że sram na Martę i chcę już iść do domu. Ale moja duma nie pozwoliła mi na to. Wypiłem wszystko. Największymi łykami, jakie byłem w stanie przełknąć wlałem w siebie gęste świństwo. Zrobiłem to błyskawicznie, dzięki czemu poczułem smak dopiero po ostatnim łyku. Skrzywiłem twarz w grymasie obrzydzenia, bowiem moje kubki smakowe zasygnalizowały połączenie niedogotowanej i nieposolonej czerniny z czymś równie gorzkim jak żółć.

Mężczyzna zabrał mi michę i odstawił na blat, po czym począł tupać i tańczyć jakiś chory taniec. Kręcił się wkoło, trzymając ręce skierowane do góry, jakby w geście prośby. Wirował coraz szybciej i szybciej, a ja chwilami nie miałem pewności, czy wciąż widzę kapłana, czy kogoś zupełnie innego. Do tego darł się wniebogłosem, jeszcze głośniej niż poprzednio. Jego wrzaski i walenie butami o podłogę przyprawiało mnie o szaleństwo. Żołądek podszedł mi do gardła. Czułem, że za moment zwymiotuję. Wtedy odniosłem wrażenie, że kątem oka widzę jakiś cień, który powoli przybliżał się do mnie. Czarny kształt rósł i rósł, aż w końcu całe pomieszczenie ogarnęła nieprzenikniona ciemność.

Otworzyłem oczy. Leżałem na łóżku w moim pokoju. Spojrzałem na stojący na szafce obok budzik: było dość wcześnie, a więc musiałem niedawno wrócić do domu. Podniosłem się z posłania, ale natychmiast zaległem z powrotem.

– Jezu... – jęknąłem. – Ale mnie bania napierdala.

Sięgnąłem do szafki, po czym wyjąłem opakowanie tabletek. Chwilę później połknąłem bez popicia jedną po drugiej.

Po kilkunastu minutach poczułem się na tyle lepiej, że chwiejnym krokiem podszedłem do krzesła i wydobyłem z kieszeni spodni telefon.

– Wporzo, Henry? – przywitałem się. – Słuchaj, co się dzisiaj stało? Ja nic nie pamiętam.

Big Bang był zaskoczony moim pytaniem. Odpowiedział, że jak wyszedłem z mieszkania szamana, to poprosiłem o zamówienie taksówki, bo nie czułem się na siłach wracać pieszo. Nie chciałem też poczekać na przyjazd autobusu.

– Postaliśmy razem, aż przyjechało taxi. I jeszcze starłem ci z twarzy zakłęcie, bo zapomniałeś się umyć. No, a potem wsiadłeś i odjechałeś – relacjonował. – Fakt, nie wyglądałeś zdrowo. Byłeś spocony jak szczur i przerażony. Ale nie dziwię ci się. Wciąż pamiętam, jak ja przeżyłem swój rytuał.

Nie pamiętałem ani strzępka zdarzeń, o których mówił Henry. Miałem jednak nadzieję, że powoli pamięć powróci.

– Czy wiesz, jak długo będę czekał na wypadek Marty?

– King Richie nie powiedział ci? – zdziwił się.

– Może i powiedział, ale nic nie pamiętam. – Zaakcentowałem mocniej dwa ostatnie słowa.

– Ach, tak. To trwa najwyżej tydzień. Tylko tyle uwolniony duch może przebywać w naszym świecie.

Podziękowałem mu za wyjaśnienia, a potem położyłem się do łóżka i niemal natychmiast zasnąłem.

Wracałem z pubu, gdzie opowiedziałem Henry'emu przebieg rytuału. A przynajmniej tyle, ile z niego zapamiętałem. Mocno podchmielony szedłem już jakiś czas wzdłuż Turnpike Line. Po chwili zauważyłem, że chodniki były zupełnie opustoszałe. Co prawda o tej porze nie spodziewałem się tłumów, ale bardzo zdziwiła mnie tak wyludniona ulica. Wszystko dookoła wyglądało jak po ataku śmiertelnej epidemii.

Nagle zgasły latarnie. Okolicę przykrył szczelny płaszcz bezgranicznej ciemności.

– No, kurwa – zakląłem. – Ciemno, jak w... – Zachichotałem, kiedy wyobraziłem sobie Henry'ego wypinającego wielką dupę.

Usłyszałem za sobą jakiś trzask. Obejrzałem się. Nie zauważyłem niczego godnego uwagi, szczególnie że mrok nocy skutecznie przeszkadzał w zobaczeniu czegokolwiek.

Po chwili znowu jakiś dźwięk dobiegł do moich uszu. Kiedy spojrzałem za siebie, ujrzałem tylko egipskie ciemności.

Wkrótce zza pleców dotarło do mnie głośnie sapanie. Zatrzymałem się. Momentalnie oblał mnie zimny pot. Byłem przekonany, że coś lub ktoś skrada się za mną. Strach zupełnie mnie sparaliżował. W końcu, powoli, odwróciłem się. I zamarłem.

Przede mną stał ogromny lew. Przez chwilę patrzył na mnie świecącymi szkarłatem oczami, po czym wyszczerzył kły. Nagle ryknął tak głośno, że aż zapiszczało mi w uszach.

Zerwałem się do szaleńczego biegu. Czułem, że gorący oddech ścigającego jest coraz bliżej. Kiedy mijałem niewielki mostek, coś uderzyło mnie w bok. Przeleciałem nad barierką, po czym spadłem kilka metrów w dół, uderzając plecami o szyny kolejowe. Moje ciało przeszył palący żywym ogniem ból. Straciłem przytomność.

Usłyszałem regularne pikanie. Coś, co przypominało dźwięk mechanizmu odliczającego wybuch bomby, wdzierало się do mojego mózgu. Otworzyłem oczy. Po krótkiej chwili domyśliłem się, że leżałem na plecach, bo nade mną wisiał biały sufit. Zerknąłem w bok...

Dlaczego nie mogę się poruszyć?

Zauważyłem szafkę, na której stały jakieś urządzenia. Spojrzałem w drugą stronę...

Dlaczego nie mogę się poruszyć?

Zobaczyłem rurki oraz kroplówkę. Teraz miałem pewność, że byłem w szpitalu.

Dlaczego, kurwa, nie mogę się poruszyć!?

Do moich uszu dobiegły dwa głosy. Henry rozmawiał z jakąś kobietą.

– Jest sparaliżowany – wyjaśniała – i trudno powiedzieć, jak długo pozostanie w takim stanie. Może tydzień, może miesiąc, a może kilka lat?

– Pani doktor, ale on wyjdzie z tego? – zapytał Bang.

Nie padły żadne słowa. Wyobraziłem sobie, że lekarka wzruszyła bezradnie ramionami.

Chwilę później usłyszałem oddalające się kroki. Wiedziałem, że Henry wkrótce odwiedzi mnie ponownie, ale marna to była pociecha. Nawet nie mogłem się rozplakać.

Kiedy tak leżałem i myślałem o swoim żalnym położeniu, zaskrzypiały drzwi i ktoś wszedł do pokoju. Czułem jego obecność.

– Wiem, że mnie słyszysz – odezwał się King Richie. Zrobił kilka kroków, aż w końcu ujrzałem jego twarz. – I wiem, że mnie widzisz.

Usiadł na skraju łóżka, po czym rzekł:

– Pewnie zastanawiasz się, dlaczego tak się stało? Odpowiedź jest prosta. Tylko czysta nienawiść może dokonać zemsty. Ale jest jeden warunek: pokrzywdzony musi być pewny swoich uczuć, w przeciwnym razie sam staje się ofiarą klątwy.

Powstał z pozycji siedzącej i począł grzebać w torbie.

– Zapomniałeś tego.

Pokazał mi zakrwawioną fotografię. Po chwili postawił ją na szafce, opierając o medyczną aparaturę.

– Nie martw się. Twój stan nie potrwa dłużej niż rok. – Jeśli próbował mnie pocieszyć, to raczej mu nie wyszło. – A, swoją drogą, chyba tylko białas nie potrafi odróżnić miłości od nienawiści.

Wypowiedziawszy te słowa, zniknął za drzwiami.

Koniec

rys. Dawid Boldys



JAKUBEK

Katarzyna Szewioła-Nagel

Zadarłam głowę do góry. Nade mną wisiało zamglone słończko. Niby chmurki, niby coś innego. Jakby zwiastowało nagłą burzę. Zszarzała struktura balansowała pomiędzy błękitem a chmurami, które po części ukrywały się za kotarą nijakości. Idealny obraz mojego życia. Szlag! Przecież nie mam życia. Wetknęłam łąpska w kieszenie podniszczonych jeansów i powlokłam się w stronę domu. Zapewne czekała tam sterta prania i Jenga dla dorosłych – czytaj: gary w zlewie, okruchy na dywanie i inne cudowne rzeczy, które tak bardzo kochają kobiety pracujące. Ciekawe czy księcio-małżonek odebrał młodego

z przedszkola? Wyjęłam rękę z portek i zerknęłam na zegarek. Piętnasta dwadzieścia. Placówkę miałam po drodze, więc pójście po dzieciaka nie stanowiło problemu, tylko po co, skoro Jarek to zrobił. Przystanęłam i pokopałam w plecaku w poszukiwaniu komórki. Telefon, jak zwykle, przykryła warstwa paragonów, ulotek i innego śmiecia, które już dawno powinnam wypierniczyć, ale jakoś się nie zebrało. Wybrałam numer. W słuchawce długo buczał sygnał nieodbieranego połączenia, po czym usłyszałam zaspane:

– No.

– Co no? Śpisz? – warknęłam wiedząc, że młodociany nadal jest w murach przechowalni.

– No. Nockę miałem, nie? – ziewnął przeciągle. Pewnie teraz jedną pięścią przecierał zaropiałe oczy.

– Po Kubę żeś polazł, czy ja mam iść?

– Eee... Nie.

– Co nie?

– No nie byłem, no.

– Wspaniale, a wiesz, że on ma tam być do maks piętnastej? A jest już prawie pół godziny po?

– Daj spokój – usłyszałam. – Spałem.

– To trza sobie budzik nastawić – wycedziłam i ze złością zakończyłam rozmowę.

Wszystko na mojej głowie! Komórka z powrotem wylądowała w plecaku. Niespiesznie przeszłam kilka ulic. W tym czasie powietrze przeszło zapachem zbliżającego się deszczu. Nad głową wibrowały kłębiaste twory, napędzane wiatrem. Ten porywał z ziemi śmieci i listki, które kręcąc młynki odbijały się od łydek. Miły dla oka taniec przerywały cudze nogi, które przecinały trajektorię lotu wielobarwnych skrawków.

Przedszkole o czerwonym, ceglany frontie witało rodziców wycinankami przyklejonymi do szyb wiatrołapu. Białe kłębki waty z założenia miały przypominać owieczki pasące się na zielonej łączce. Już zza szyby widziałam, jak syn siedzi sam na ławeczce, mając przy tym nogami pozbawionymi kapci. Weszłam z rozwichrzonym włosom i rumieńcem na lekko opalonych skórze. Przedszkolanka pojawiła się jakby znikąd, gdyby nie to, że się jej spodziewałam, pewnie podskoczyłabym pod sam sufit. Uśmiechnęła się serdecznie:

– Dzień dobry. Kubuś dziś wyjątkowo mało jadł. Może w domku odzyska apetyt. Co ty na to? Zjesz pyszny obiad z mamusią? – zwróciła się do dziecka. Wzruszył tylko

ramionami, nie przerywając majtania stopami. – No nic. Jakby się źle czuł, to proszę go jutro nie przyprowadzać. Może to tylko zwykłe humorki.

– Dobrze – przytaknęłam, wizualizując kolejne L4, które kiedyś stanie się gwoździem do trumny zwanej zwolnieniem.

Kobieta pożegnała się i wróciła do swoich obowiązków.

– Cześć – zagadałam śpiewnie, uśmiechając się do latorośli.

Młody podniósł głowę i zerknąwszy z wyrzutem, odburknął pod nosem:

– Spóźniałaś się.

– Tata miał cię odebrać – próbowałam tłumaczyć. – Dziś poniedziałek. Zawalili mnie papierkową robotą. Jak zawsze na początek tygodnia, przecież wiesz.

– Wiem. – Wstał i bez przywitania pomaszerował po obuwiu zmienne i bluzę.

W tym czasie posadziłam tyłek na ławeczce, próbując odsapnąć na zapas przed tym, co czekało w domu. Przez przedszkolny szum dobiegły mnie stłumione głosy kucharek, które dysputowały o czymś, co właśnie pokazywano w TVN24. Dosłyszałam tylko: dziwne przypadki nagłych śmierci i wirus dziesiątkujący bydło. Machnęłam ręką. Pewnie znowu Chiny i ptasia grypa. Jak przyszła, tak sobie pójdzie i wszyscy zdrowi. Ot selekcja naturalna. Szczepienia zaliczyliśmy całym stadem. Nic nam nie groziło. W tym czasie dzieciak wrócił obuty w trampki, które dzielnie założył lewa na prawą. Bluzę zaś dzierzył pod pachą, święcie przekonany, że nie zmuszę go do założenia ciucha. Nie lubił tego ubrania tak samo, jak osoby, która mu je sprezentowała. I w sumie się nie dziwiłam. Babcine fatalaszki zawsze miały jakiś „nietenteges”.

– Daj. – Wskazałam na nogi. – Źle masz buty ubrane. Widzisz? Noski nie patrzą na siebie, a w przeciwną stronę. Trzeba przebrać, bo będzie ci niewygodnie.

– Jest mi wygodnie. – Odsunął się. – Chcę do domu.

– Okeeej... – wydłużyłam zdziwiona. Wyciągał zawsze jeszcze na plac zabaw, choćby na pięć minut, na ulubioną huśtawkę. Czułam, że coś jest nie tak. – Jak tam dzień? Powiedz, że lepiej niż u mnie – dociekałam dyskretnie.

– Nic fajnego. Główka mnie boli – odrzekł i, wyminąwszy mnie, poczłapał do wyjścia.

Polazłam za synem. Może rzeczywiście bierze go jakieś grypsko. W domu zmierzę mu temperaturę. Zawsze jak zaczynał marudzić, to świadczyło o tym, że następnego dnia obudzi się z zawalonym nosem i gorączką pod sufit.

Do bloku mieliśmy raptem dziesięć minut. Ani razu się do mnie nie odezwał. Co krok przystawał i podziwiał tylko trawę rosnącą na skwerze, jakby była najpiękniejszą rzeczą na świecie. Kiedy wchodziliśmy do windy, w końcu otworzył usta:

– Wiesz, mam. Dziś widzę kolory zupełnie inaczej.

– Nie rozumiem? – Przyjrzałam się z uwagą. Teraz, w sztucznym świetle starej żarówki, zauważyłam, że ma mocno przekrwione oczy.

– Trawa jest jakby zieleńsza. I szeleści tak głośno, jakby była sucha. Takie żywe siano.

– Co? – Nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie wydobyło się z jego ust. – Jak siano może być żywe, o czym ty mówisz? – Dotknęłam czoła syna. Skóra niemalże poparzyła opuszki. – Rany boskie – jęknęłam. – Masz gorączkę!

– Pić mi się chce.

Winda otwarła się, a ja pociągnęłam go za sobą. Serce tłukło się w piersi. Jakub od małego należał do delikatnych dzieci. Byłe przeziębienie kończyło się antybiotykiem, jeśli nie szpitalem. Nie patrząc na nic wtargnęłam do mieszkania. Usadziłam przychówek na kanapie i pobiegłam do kuchni po termometr. Nadal miałam na sobie plecak i buty. Zupełnie o nich zapomniałam.

– Co robisz? – dobiegło z łazienki, wraz z szumem spuszczonej wody w klozecie.

– Chyba Kuba coś złapał – odkrzyknęłam, wpychając małemu termometr pod pachę. Dopiero kiedy upewniłam się, że włożyłam go poprawnie, z ulgą zrzuciłam ciężkie buty.

– Czy ty aby nie przesadzasz? Pewnie jakieś „Karyniatko” coś przywlekło. To normalne. – Próbował uspokajać, ale wiedziałam swoje.

– No przecież wiem. I na litość boską, weź coś załóż, nie łaź w potarganych majtach, bo jeszcze chwila, a interes ci z nich wylezie.

Ślubny pod względem bielizny zawsze należał do tego gatunku, który stan majątek uważał za coś zbędnego i zrzucał na dalszy plan. Nosił do momentu, aż rozpadną się na cząstki, bo po co kupować, skoro jest jeszcze dobre. Stanowiłam przeciwieństwo. Wszystko musiało mieć swoje miejsce. Wymuskane, wypielęgowane, włosy uczesane, kołnierzyk wyprasowany. Gdybym mogła, to pewnie i jeansy traktowałabym żelazkiem, i to na kant. O, pedantyzmie, ty niewdzięczna fobio!

Skrzywił się, przewrócił oczami i przysiadł przy dziecku.

– Tato. – Kuba odwrócił się w jego stronę, ale przez ułamek sekundy wydawało się, jakby nie patrzył na ojca, a raczej przez niego. – Powiedz mamie.

– O czym? – wzdrygnął się, blednąc.

– No wiesz, tato.

– No, tak jakby nie mam pojęcia. – Zerknął na mnie z przerażeniem i konsternacją. Mocne przeświadczenie, że coś się świeci, zbudziło niezdrową ciekawość.

– O czym mówisz? – zainteresowałam się.

– No bo tata od tygodnia nie ma pracy. Nie mówił, bo boi się, że będziesz zła. Ale to nie jego wina. Nie gniewaj się. – Mój wzrok przeniósł się na księciunia. – No i śpi teraz u cioci Asi, ale nie martw się, mam – nagle zakaszła – on lubi ciocię, a ciocia też go lubi.

Zapadła niezręczna cisza. Ani ja, ani Jarek nie odzywaliśmy się. Machinalnie sięgnęłam w kierunku pachy syna, by wydobyć termometr. Prosta czynność miała odsunąć od tego, co zaczęło dziać się pod strzechą farbowanych na czarno kudłów. Jednakże miałam wrażenie, jakby ktoś przydzwonił mi w tył głowy sporej wielkości patelnią i teraz przez to zaczęło mi szumieć w uszach. Skąd dzieciak wiedział takie rzeczy, przecież nie wymyślił sobie tego w biegu... Po minie siedzącego obok wnosiłam, że właśnie został zdemaskowany, nie tylko pod kątem kolejnego wywalenia z roboty, ale także i zdrady. Choć tej akurat mogłam się spodziewać. Od dawna się mną nie interesował. Bo po co? Istniałam jedynie. Duchem albo w pracy, albo przy dziecku, albo wiecznie ze szmatą w rękę, wieczorem tak zdechła, że jedyną rzeczą, o jakiej marzyłam, był sen. Ale... ale... Nic nie pojmowałam.

W sekundę chęć mordy przebiegła przez ciało niczym dreszcz. Chciałam wypruć mu flaki, a potem zanurzyć w nich ręce. W jeszcze ciepłe węzowisko wilgotnych i lepkich jelit. Pobawić się nimi, kiedy jeszcze żył i patrzeć jak kona w wiecznych mękach. Miałam ochotę spleść palce wokół bijącego serca i zaciskać je tak długo, aż ostatecznie drgnienie nie dokończy żywota niewiernego dupka. Potem wyjąć z szafy piłkę do metalu, krótki brzeszczot i powoli, palec po palcu, kosteczka po kosteczce rozczłonkowały, jednocześnie rzygając i srając do wnętrza jamy brzusznej. Chciałam, by stał się miazgą krwi i mięsa. Chciałam zerknąć w puste oczodoły, które z taką rozkoszą pozbawię błękitnych oczysk, które tak mocno mnie kiedyś zauroczyły. Za pomocą kombinerek wynajmowałabym mu ząb po zębie i rokoszowała się każdym trzaśnięciem korzenia. A potem spaliłabym truchło gdzieś na końcu świata, rozsypując prochy w wodzie tak, aby nikt więcej nie musiał przez niego cierpieć.

Oprzytomniałam, kiedy Kubą targnął nagły spazm. Dorskoczyłam do syna porzucając smakowitą wizję krwawej zemsty.

– Dzwon na pogotowie! – wrzasnęłam.

Wstał i poszedł po komórkę. Nie wykonał tego jak zatroskany ojciec, raczej jak ktoś, kto ma wszystko w dupie. Po chwili wrócił do pokoju, rozkładając ręce i oznajmiając, że nie może jej znaleźć. Posłałam mu miazdzące spojrzenie, obiecując sobie, że skrócę kiedyś te męki.

– To jest jakiś koszmar – zajęczał jak kocię, kiedy przekopywałam stertę śmieci w plecaku. Nie mogąc dość z nimi do ładu, wpierdoliłam wszystko na środek. Telefon z głuchym łoskotem uderzył o panele. Porwałam go i wystukałam numer do szpitala. Znałam go na pamięć, nawet nie musiałam szukać w spisie. Jedną dłonią głaskałam szamoczące się dziecko, drugą przytrzymywałam aparat, którzy niemalże wyślizgiwał się z palców. Czułam, jak pot spływał ze mnie strugami. Szybko zaczęłam wyglądać, jakby ktoś wylał na mnie wiadro zimnej wody.

– Jarek, do cholery, pomóż mi!

Pokręcił tylko głową, wykonując krok w tył.

– Widziałem to dziś w telewizji – szeptał łamiącym się głosem. – Mówili, że jest jakieś choróbsko. Bardzo zaraźliwe. Ludzie umierają. Nie chcę tego złapać!

– Ogarnij się, kurwa, nierobie! – ryknęłam, a drobiny śliny upstrzyły twarz syna. – Zakładaj ciuchy i jedziemy do ambulatorium! Kurwa! Nikt nie odbiera, zajęte! Ja pierdole!

– Nigdzie nie idę – odrzekł dobitnie. – Nie mam zamiaru go dotykać. Rób co chcesz.

– Co ty odpierdalasz?! – Krew zagotowała się w żyłach. – Jak możesz być taką gnidą?! To twoje dziecko, a ty uciekasz jak szczur! – Nie mogłam zrozumieć, mimo że bardzo chciałam.

– Nie mam pewności, że to moje dziecko – odszczeknął, nie tracąc kontaktu wzrokowego, jakby spodziewał się nagłego ataku.

Odsunęłam komórkę od ucha, wlepiając weń wzrok, źrenice w chwilę zwięzły się w wąskie szczeliny. Poderwałam się z miejsca i nie myśląc co robię, napałam na tchórza tak mocno, że upadając, uderzył głową o próg, tracąc przy tym przytomność. Na podłodze pojawiła się czerwona wstęga. Przyłożyłam palec do tętnicy szyjnej. Żył. Niech zdechnie! Zasłużył. Potem będę się martwiła. Przebiegłam przez mieszkanie łapiąc klucze z samochodu. Na szczęście zawsze kładł je w jednym miejscu, inaczej nie miałabym szans na ich odnalezienie, szczególnie w jego bajzlu. Porwałam syna w ramiona i ciężko dysząc, wyszłam z domu. Wydał mi się o wiele cięższy, wiotki i bezwładny niczym marionetka. Głowa dyndała na miękkiej szyi, co rusz zmieniając położenie. Z jego gardła słyszałam tylko głuche rżenie, jakby w płucach zaczynał zbierać się płyn. Do tego szybko traciłam siły. Musiałam się kilka razy zatrzymać. Bałam się, że w chwili nieuwagi upuszczę dziecko, robiąc mu jeszcze większą krzywdę.

Samochód stał niedaleko domu, tuż przy spożywczaku. Na ulicy nie zastałam żywej duszy, a może tylko miałam takie złudzenie. W oddali wycie syren uświadomiło, że coś jest nie tak, choć dawało nadzieję na to, że w lecznicy znajdę potrzebną pomoc. Ułożyłam Kubę

na tylnym siedzeniu. Jasnosiną skórę zdobiły kropelki potu. Na tym brzydkim tle wyglądały jak diamenty, delikatnie połyskujące w niemrawych promieniach słońca, które walczyło z nadciągającą nawałnicą. Przystanęłam na sekundę, aby przed podjęciem trasy nacieszyć się jego widokiem. Powinnam wsiąść i jechać na złamanie karku, ale wtedy upajałam się spokojem wymalowanym na nieprzytomnej twarzy.

Silnik zarechotał. Zakrztusił się kilka razy, ale załapał. Wyjeżdżając na ulicę, niemalże wbił się w nas niebieski Seat, który z piskiem opon zatańczył na asfalcie, po czym przydzwonił w barierki. Zamrugałam energicznie, nie dowierzając temu, co właśnie zobaczyłam. Dopiero wtedy zaczęłam łapać. Wcześniej niedostrzeżeni ludzie byli, a owszem, ale inni. Jakby rozmyci, pozbawieni kształtów. Zlewali się z otoczeniem, jak drapieżniki, które przyjęły maskujący kamuflaż. Drzwi rozwalonego samochodu otwarły się, a z wnętrza wypadł człowiek, który nie miał połowy twarzy, brocząc przy tym tak obficie, że jasna koszula w mig zabawiła się czerwienią. Ułamki sekund wydały się nieskończonością, jakby ktoś spowolnił czas, nakręcając go na nienaoliwione trybiki. Przez zażawione oczy wdziałam tylko, jak mężczyzna upada, przygwożdżony ciałem korpulentnej kobiety, która na czworakach wypełzła z tego samego pojazdu. Po tym wszystko wróciło do normy. Ba! Przyspieszyło, ciągnąc za sobą kolejny węzeł zdarzeń, następujących jedno po drugim.

Pozostawiłam tę upiorność za sobą i z piskiem opon ruszyłam w stronę budynku szpitala. Wszystko migało przed oczami. *To pewnie się nie wydarzyło. To wszystko iluzja* – rozmyślałam, skręcając w kolejną uliczkę i czując jak prędkość zarzuca mi tyłem pojazd. Na szczęście byłam dobrym kierowcą. W przeciwieństwie do pacholka – niech go szlag! Przyhamowałam, kiedy jakiś kretyn wbiegł na jezdnię, wydzierając się wniebogłosy. Puknęłam się palcem w czoło, pokazując mu, co o nim myślę. Ruszyłam. Zniknął z oczu. Budynki z wielobarwnymi szyldami rozpląwały się, tworząc rozmemlane pstrokaczyny. Coś wisiało w tym szarym powietrzu, nasiąkniętym deszczem, który nie spadał. Jakby on sam nie miał ochoty dotykać gleby. Pierwszy raz w życiu nie jechałam przepisowo. Chrzanić! Brak czasu na patrzenie na znaki oraz na tych, którzy mijali nas w pośpiechu, jakby sam szatan deptał im po piętach. Nie przyglądałam się. Skupiałam wzrok na drodze, a nie na tych, którzy podobnie jak ja próbowali gdzieś dotrzeć, nie tylko na czterech kółkach, ale o własnych siłach, dzierżąc na plecach naprędce popakowane rzeczy... Tylko po co? Czemu teraz... Co u licha? Myśli zatrzymały się na chwilę, kiedy dostrzegłam rodzinę ciągnącą za sobą dwójkę dzieci. Ona, z zabandażowaną ręką, niosła około rocznego berbecia, on trzymał w żelaznym uścisku krzyżącą dziewczynkę. Znowu wróciłam do rzeczywistości.

Budynek docelowy powoli wylaniał się zza rozłożystych kasztanowców, pięknie zazielenionych, choć ta barwa, za sprawą pogody, teraz przybrała odcień głębszy, bardziej stonowany. Zupełnie nieprzypominający świeżości, która wiosennie wylewa się na listowie.

Zerknęłam we wsteczne lusterko. Kuba chyba spał. Nie potrafiłam dopatrzeć się zmian w jego wyglądzie. To chyba dobrze. Ustabilizował się. Na miejscu wszystko się wyjaśni. Już niedaleko... a jednak daleko. Uliczkę prowadzącą na szpitalny parking zatarasowały dwa wozy. Miedzy nimi dostrzegłam karetkę, wbitą maską w latarnię, która nie dość, że zrobiła w niej pokaźne wgłębienie, to za sprawą siły uderzenia przewróciła się na inny samochód, złościąc w nim potężną wyrwę. Spod pogruchotanego żelastwa leniwie snuł się obłoczek dymu. Musiało się to stać niedawno, może przed chwilą. Wokół ani żywego ducha. Dziwne... Wolno zahamowałam. Zawracać i kierować się na drugą stronę placówki? Nie, to bez sensu. Za dużo czasu stracę na szukanie miejsca. Rozejrzałam się. Chciałam zaparkować, ale przez rozgardiasz i wypadek nie miałam szans na ustawienie się w jakiś sensowny sposób. Pokręciłam kierownicą, zjeżdżając lekko i sytuując automobil obok starego mercedesa.

Wyskoczyłam na ulicę. Otworzyłam tylne drzwiczki. Zmarłam. Kuba siedział wyprostowany. Wpatrywał się w plamy cieni, majaczące na obiciu fotela kierowcy. Dziwny dreszcz zaznaczył skórę grzbietu. Wyciągnęłam w jego kierunku drżącą rękę. Chciałam, aby ze mną poszedł. Czas naglił.

– Synku – szepnęłam drżącym głosem. – Synku, chodź. Musimy iść.

Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Po prostu tam tkwił, zahipnotyzowany tańcem liści.

– Kuba. Nie czas na zabawy w zajęczki. Chodź – ponagliłam. Kątem oka dostrzegłam w lusterku, że w naszą stronę zmierzał postawny mężczyzna. Szedł dość wolno, nerwowo rozglądając się na boki. W ręce miał chyba łom czy coś podobnego.

Myślami wróciłam do młodego. Nachyliłam się, wkładając głowę do wnętrza samochodu:

– Ej! Idziemy!

I wtedy to zobaczyłam. Syn wyglądał jak coś, a nie jak ktoś. Kredowobiałą skórę znaczyły wieńce czarnych żył, które wyraźnie uwypuklały się, przez to stając się bardziej upiornymi. Jego oczy... ja pierdolę! Nie miał ani tęczówek, ani źrenic. Bielmo zalało całą gałkę, która pozostała zupełnie nieruchoma. Gdzieniedzie w miejscach, w których wcześniej dostrzegłam przekrwienie, te same nici arterii wybijały się ponad wszystko. Jęknęłam, zdruzgotana i przerażana równocześnie.

– Kubuś – załkałam. – Kubuś, kochanie... Słyszysz mnie?

Chciałam go ratować. Dotknęłam lekko ramienia w nadziei, że zareaguje i pozwoli sobie pomóc. Nie zdążyłam odsunąć palców, kiedy mój pierworodny zacharczał, a potem rzygnął skrzeplinami, które zalały część tylnego siedzenia. Odsunęłam się machinalnie, zasłaniając usta dłonią. Zjedzona w pracy bułka podeszła do gardła. Smród, który nas otoczył, był jak duszny całun. Opanowałam odruch wymiotny nie zważając na to, co rejestrowały zmysły i wyszarpałam go na zewnątrz. Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że niewidzące oczy przyglądają mi się uważnie. Położył chłodne dłonie na moich, zaciskając je mocno. To dało nadzieję, że nadal żył. Tylko za nic w świecie nie miałam pojęcia, cóż to za choroba toczy ciało mojego dziecka.

Wreszcie zerwał się chłodny wietrzyk. Smród nieco zelżał, ale niedostatecznie, gdyż bluzkę i część jego spodni oblepiała brunatnoczarna breja. Uścisk nie zelżał. Wręcz przeciwnie, miażdżył nadgarstki w nienaturalny sposób. Chciałam się uwolnić od ukochanych rączek. Ale im bardziej się szamotałam, tym trzymał mocniej. Miałam ochotę wrzasnąć, by przestał, bo to jest niegrzeczne, ale zanim to zrobiłam, rozszerzył usta i obnażając dziwnie pożółkłe zęby, próbował... ugryźć. Nadzwyczajnie w świecie zatopić się w skórze mojego przedramienia. Zgłupiałam. Poczułam, że zaczynam tonąć w jakimś koszmarze rodem z filmów o zombie, gdzie w pierwszych scenach najbliżsi zżerają się nawzajem. Nie! Kurwa! Przecież to niemożliwe! To nie jakaś pierdolona fikcja, a rzeczywistość!

– Jakubek! – Wyrwałam się z niedźwiedziego objęcia i odpychając syna, oddaliłam się o kilka kroków. – Jakubek! Słyszysz mnie?! – darłam mordę, a gardło zdzierało się do krwi. – Synu! Słyszysz mnie?! – Miotalam się pomiędzy chęcią przytulenia dziecka a ucieczką.

Tkwiał w miejscu, w którym go zostawiłam. Lekko chwiejąc się w jedną stronę. Spomiędzy bladych warg ciekła wąska stróżka krzepnącej purpury. Powieki niedomknięte nie drgały. Klatka piersiowa nie unosiła się. Ewidentnie nie żył. A ja odganiałam rzeczywistość jak natrętnego owada. Tylko jakim cudem utrzymywał się na nogach? Co napędzało to wątłe ciało? Poczucie winy wypełniało moją głowę. Nie zdążyłam. A byłam o krok. Gdyby nie ten opasły buc, pewnie dałabym radę. Jakim trzeba być chujem, by tak potraktować własne dziecko?! Poczułam ciężar ostatnich wydarzeń tak mocno, że z tej niemocy padłam na kolana, ukrywając twarz w upapranych dłoniach. Bruk zdarł z moich nóg skórę. Piekący ból wdarł się w tkanki, otrzeźwiając na chwilę. Mgła rozpaczy na sekundę opadła z oczu. Z prawej strony dostrzegłam tego samego mężczyznę, którego jeszcze z pięć minut temu widziałam we wstecznym lusterku. Podeszedł bardzo ostrożnie, oburącz trzymając łom. Tak, łom, dobrze mi się wtedy wydawało. Umazany jakąś burą mazią, w której tkwiły

białawe odłamki i strzępki sierści lub włosów. Wgapiałam się w przedmiot jak zahipnotyzowana. Nic poza nim nie istniało. Czas biegł w takt podrygiwania żelastwa.

Wdech i wydech. Wdech... głucho uderzenie. Ptaki oderwane od gałęzi w nerwowym locie na oślepie. Trup chłopca upadający tuż przede mną. Fragmenty mózgu zdobiące szary bruk. Czarna krew z wolną tworzącą okrąg, który po chwili dotknął skóry obtartych kolan, przerażająco lodowaty i lepki...

Facet poderwał mnie jednym ruchem. Dostałam w psyk. Silne uderzenie zapiekło. Zawiasy w zuchwie trzasnęły lekko, ale nie na tyle mocno, aby wybić ruchomą kość.

– Obudź się, kobieto! – dosłyszałam jak przez mgłę.

– Co... – jęknęłam, nie poznając głosu, który wydobył się z krtani.

– Nie co, tylko spierdalaj stąd, bo zaraz przylezie więcej tego gówna! No już!

– Ale... to mój syn... Jakubek... Jakubek! – ryknęłam jak zranione zwierzę i wyrwawszy się z uścisku na powrót padłam na kolana, brodząc w posoce. Wreszcie dotarło do mnie, że to, co leży na asfalcie, to szczątki jedyne go, wyczekiwanego dziecka, o które starałam się ponad dziesięć lat. – Coś ty, kurwa, zrobił! – łkałam, próbując go podnieść, ale nie potrafiłam. – Coś ty...

– Zeżarłby cię jak wszystkie inne mu podobne – syknął. – Nie wiem, co to za szajs, ale zatłukłem po drodze chyba z pięciu. Na moich oczach rozszarpały łaskę kuzyna. Widziałem, jak rozrywają jej brzuch rękami, uwierzyłybyś? Rękami! Lucynka była w ciąży, kurwa, na ostatnich nogach. Wyrwały jej to dziecko z bebeczków i pożarły na oczach matki, która jeszcze nie zdążyła zdechnąć. Nawet nie zakwiliło. A jak już było po wszystkim, to rozwlekły ją na pół podwórka, wrywając sobie z łapsk co lepsze kąski. Kurwa, nic nie mogliśmy zrobić. Stać tylko mogliśmy, bo te kurwy grupami chodzą. Wszędzie smród gówna, krwi i tego innego syfu, co w człowieku siedzi. Ja pierdołę! Życie ci, kobieto, uratowałem, a ty na mnie patrzysz jak na jakiegoś ciula. Ogarnij się i spierdalaj, bo i ciebie zeżrą.

Wgapiałam się w gościa. To, co do mnie mówił, przypominało jakiś irracjonalny bełkot. Poruszał ustami, ale tylko tyle. W głowie huczało mi zbyt głośno. Czułam się dziwnie. Oczy piekły, a w ustach zasychało, rozpaczliwie potrzebowałam choć szklanki wody. Zamrugałam intensywnie, aby pozbyć się piasku spod powiek.

– Wody – wychrypiałam, wyciągając w stronę chłopca ubabraną rękę. – Wody – powtórzyłam prośbę, próbując utrzymać pion.

Przetarł szeroka łapą spocone czoło. Jak przez mgłę zauważyłam, że intensywnie mi się przyglądał. Tylko czemu? W sumie to bez znaczenia. Przysiadłam na pietach, po czym nachyliłam się nad dzieckiem, kładąc dłoń na nieruchomych plecach. Tak bardzo chciałam

poczuć pod cienkim materiałem bijące malutkie serduszko... Nic dla mnie nie było tak ważne, jak on i jego dobro. Teraz leżał z rozlupaną czaszką, a ja mogłam się tylko temu przyglądać. Bezradna, z oczami pozbawionymi łez...

– Dobrze się czujesz? – zagaił, robiąc krok w moją stronę, równocześnie zaciskając obie ręce na łomie.

Co odpowiedzieć? Fenomenalnie? Mam ochotę tańczyć i śpiewać?! Teraz tylko sarkazm spływał na język wyschnięty na wiór. Miałam wrażenie, że moja krew gęstniała. Że pompa organizmu traciła siłę na tłoczenie jej. Dławiłam się z braku tlenu. Wszystko wokół dudniło i pulsowało. Raz pod powiekami tańczyły kolorowe plamy. Innym razem czarno-białe pulsujące punkty... Rzeczywistość wyostrzała się. Z każdym, płytkim oddechem czułam ją całą sobą. Pod stopami drgał asfalt, trącany ruchem tysięcy owadów żerujących pod nim. Warczał szumem rur, ukrytych pod sercem miasta. Soki krążyły w drzewach, takie wilgotne i kleiste... Powietrze pełne było niewidzialnych trajektorii, które pozostawiały po sobie fruwające istoty... Pojęłam, co miał na myśli Jakubek, wspominający o szeleszczącej trawie... Tak wyraźnie wszystko do mnie docierało... Jakimś cudem stawałam się jednością z tętniącą życiem arterią...

– Wody – zachrypiałam po raz ostatni, urzeczona pięknem drażącej tkanki.

Tępy ból przelał się przeze mnie. Najpierw wyraźny, potem kolejne ciosy zdawały się uderzać w próżnię. Konająca powłoka już nie reagowała na razy. Osuwałam się w aksamitną otchłań, próbując przywołać na myśl uśmiech synka... Jakubek... zawsze taki radosny i miły dla wszystkich... Słońce i radość... Nie mogłam... Nie mogłam w tym zawiesistym mroku dostrzec blasku jego oczu...

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

ROBERT
CICHOWLAS

ŁUKASZ
RADECKI



ZOMBIE².PL

„Robert Cichowlas i Łukasz Radecki śnią
we dwóch takie koszmary, jakie nie przydarzają się
innym polskim autorom horrorów. Czytajcie ich...
i krzyczcie ze strachu!”

Partner wydania:

DYING LIGHT
GOOD NIGHT GOOD LUCK
ENHANCED EDITION

Graham Masterton,
autor bestsellerów

www.zysk.com.pl

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:



rys. Zvyrke



LARWA

Jastek Telica

- A przybijaj tam żwawo!
- Nie mogę, szarpie się!
- Trzymajcie go, ciamajdy!

Robotą zajęło się sześciu oprawców. Bardzo niezgrabnych. Po dwóch trzymało za ręce i nogi, piąty przyłożył kołek do piersi, ostatni zamierzał się drewnianym młotem. Ale ofiara właśnie się szarpnęła. Młot ledwie został wyhamowany. Wcale nie w palik został kierowany. Nieszczęście tuż.

– Ręce chcesz mi połamać, ofermo? – warknął ten od palika. – To jego mamy sprawiać, nie mnie!

- Kiedy utrafić nie mogę.

– Strasznie się wierci – dodał jeden z trzymających tonem usprawiedliwienia. – Nic nie ułatwia, psubrat!

Ten od palika spojrział wokoło. Zebrany tłumek nie palił się do pomocy. Ludzie nie mieli nic przeciwko temu, by potworowi łeb ukręcić, oby bez ich udziału.

Lenie!

Choć tylko w tych okolicznościach.

Prostaczki!

– Ty, ty i ty! – Wskazał przywódca. – Łeb mu trzymać, na korpus sięść i z żerdką mi pomóc. – A widząc, że pomocnicy nie kwapią się do roboty, warknął: – Rażno, bo czas tracimy. Sprawę mus nam kończyć przed nocą. Wiecie o tym.

Miał posłuch, więc niechętni robotnicy przyłączyli się do wspólnego dzieła. Ostatecznie nikt nie mógł się wymigiwać, tu nie chodziło o jednego, a o wszystkich. Każdy musiał ręki przyłożyć.

Razem przytrzymało ofiarę, a choć ona miotła się nie mniej niż dotąd, to już bez poprzedniego powodzenia, a to z tej racji, że poza rękoma sznurów użyto.

Tylko że ten z młotem zwlekał.

– A tobie co?! – warknął przywódca. – Wał, póki unieruchomiony.

Młotkowego naszły wątpliwości i pot oblał. Wcale nie podobał mu się własny udział w tym całym przedsięwzięciu. Przecież cios zadawał. Ślinę przełknął.

Nie on jeden.

Przywódca zrozumiał, że zaraz to sam zostanie, bo tu nikt nie pali się do dźwignięcia ciężaru. Na drugich oczy obraca. A bez wsparcia gromady, jeden się załamie.

Przywódca nie może dać czas niemrawemu motłochowi na odwiekanie. Zgon pewny. Własny!

– Nogi ci z dupy wyrwę! To masz pewne! – syknął i tak spojrział, że jakiegokolwiek wahania porzuciły młotkowego.

Więc ten wałnął.

Ale nie włożył tyle siły, ile powinien. Słabo mu poszło, choć palik zagłębił się w pierś ofiary, ale nie więcej niż na cal. Krew popłynęła, ale niewątpliwie do powodzenia daleko.

Sprawiany nieszczęśnik szarpnął się mocniej. Głosu z siebie nie wydał tylko przez to, że knebel wciśnięty głęboko w gardziel przeszkadzał mu w tym. Ale pełna wyrazu twarz świadczyła o przeżywanej udręce. Oczy miał tak wytrzeszczone, jakby miały za chwilę wypaść albo pęknąć.

Prawie się wyrwał.

– Mocniej, sieroto!

Więc młotkowy przywalił i choć wyszło lepiej, to jeszcze nie dość.

– Coś blokuje, pewnie kołek w żebro wlaźł.

– Nigdzie nie wlaź! Z życiem, fajtłapo, i celnie, bo nie w środek bijesz. Wszystko pójdzie dobrze, jak trafisz, nie bój się.

Trzymający pobieleli z wysiłku, drżeli i ślinę przełykali. I sami się czuli tak, jakby to ich sprawiano. Nie znali się na tej robocie, niezguły, nieobyci.

Ale była ich kupa.

Kolejne uderzenie młotem było bardzo mocne i wyjątkowo celne. Ofiara aż się wyprężyła, z piersi poszła krew, ale drewno blokowało, toteż nie strugą wyciekło bokiem, za to nosem jucha chlusnęła. Mężczyźni odskoczyli, z odrazą wycierali posokę, jaka ich poplamiała.

Schodzić nie chciała.

Przywierała.

Potraktowany kolkiem nie ruszał się.

Leżał.

Aż drgnął.

– Charakternik! – ktoś zajęczał w trwodze.

– Nie, tchórze, to dech ostatni. Zawsze tak. Do roboty, nie poniechać dzieła.

Chwycili ciało i wrzucili do przygotowanej skrzyni, obrócili twarzą do dołu, ręce związali na plecach, nogi zresztą też.

– Zabijać! – warknął przywódca.

Nic bez jego udziału się nie działo. Kmiotkowie nie radzili sobie. Stale musiał ich popychać. Dobrzy tylko do jednego, by w polu się uznoić, do zarcia pyskami w ziemię.

Kiedy jednak wskazał im proste zajęcie, to ochoczo walili młotkami, dobijając gwoździe i nie żalowali ich. Co za szczodrość nienaturalna!

– A teraz w wieko! – Padł rozkaz.

Nie dać gminowi samemu sobą rozporządzać. Nie nadają się do tego. Wziąć ich za wszarż, a sprawy pójdą po porządku.

Więc prostaczkowie wzięli pięciocalowe hufnale, by przebić nimi na wylot deski. Jeśli przekłębik nie zostanie obrócony w proch i zechce wstawać, to mu się nie uda, pokłuty skryje się na powrót. Nie wylezie, krzywdzić gromadę niewinną.

Już bez rozkazów spuścili trumnę do dołu.

– Sprawnie poszło – cieszyli się i zaraz zabrali do zasypywania.

Aż furczało.

Lecz jeden przystanął.

– A ty co? Pomagaj!

Trzymał łopatę w garści.

– No co? Lenisz się?

– Nie. Zapomnieliśmy mu łeb uciąć. – Podniósł narzędzie. – Niedobity. Wstanie poczwarą.

Kmiotkowie podrapali się po głowach, popatrzyli po sobie.

– To co, odwalamy?

Nikt nie miał ochoty. Zagapili się na wodza. On badał ich w międzyczasie. W karby można by wziąć rozkazem. Ale wtedy rozeszliby się całkiem.

Machnął ręką.

– Jednak nie wstanie, zakołkowany na amen.

Wkrótce robota dobiegła końca.

Sprawcy chrząknęli, spojrzeli na wyraźnie zniecierpliwionego wielebnego.

– Ojciec...

– Co?! – warknął zagadnięty.

– Może jakiś stosowny obrządek...

– Czartu?! Na poświęconej cmentarnej ziemi nie pozwoliłem go grzebać, za murem spoczął, jak pies wściekły. Nie przynależy do gromady. Wyrzekliście się go. A teraz zawalcie głazami i chwasty posiejcie.

– Same wyrosną...

– Nie moja sprawa. Ja tu byłem tylko po to, by spełnić wolę bożą, nie po to, by przekłętogo odmieńca siłą do nieba ciągnąć. To niemożliwe – syknął. Wąż nieomal. Odwrócił się i odszedł.

Tuziemcy jeszcze po sobie popatrzyli. Kilka kamieni narzucili.

– To co – zaczął któryś – siejemy chwasty?

– Głupi! – Zaśmiał się przywódca gromady. Ruszył śladem duszpasterza.

Wkrótce na miejscu nikt nie pozostał.

* * *

Jeszcze przed murem wyrastały drzewa. Świerki głównie. Za nim było ich więcej. Lasek. Tłoczyły się, mrok pod nimi zalegał, gdzie kanie chętnie rosły na ziemi pokrytej igliwem.

Poza jednym miejscem, tam zgrupowały się paprocie, mech puchł pod nimi, a gdzieś kolonie białych kwiatków, niebieskich zresztą też.

A pod sześcioma stopami ziemi spoczywał trup z piersią przebitą osinowym kołkiem. Li-che drewno, już spróchniało, zarówno to w paliku, jak i deskach trumny, gwoździe, jakimi nabito wieko, ledwie się trzymały. Zsuwały się na ciało. Ono przetrwało. Ale nie zostało pokaleczone. Żelazo nie wnikało pod skórę. Odwodniony trup zsechł i stwardniał.

Grunt dawno się zapadł, ziemia nasuwała się na głowę, choć nie dostawała się do ust i oczu, przecież zewłok leżał odwrotnie, niż to się należy. Nie pochowano go zgodnie z ludzimi obyczajami.

Wszak przeklęty.

Martwe ciało cierpiało nieopisane katusze. Kotłująca się świadomość łaknęła ukojenia i wyła z pragnienia. Trup spróbował się unieść, ale nie miał jak. Gmerał palcami w pokrywającym go piasku, przetaczał ziarnka.

„Zabity, zabity!” – wyła rozpacz w zeschłym zwojach mózgowych, a towarzysząca im udręka spychała świeżo odzyskaną przytomność w otchłań nieświadomości.

Stamtąd nadchodził rozkaz.

Wygrzebać się!

Stwórz co chwilę tracił poczucie tego, kim jest, po czym je odzyskiwał, ale czy wiedział, czy nie, nieustannie wbijał pazury w piasek. Drażył go jak kret, byle przed siebie.

Nakaz wszelkich istot, do przodu iść. Nie zawracać!

Pamięć przynosiła wspomnienia. Przede wszystkim te związane z kaźnią. Mocne ręce przyciskające do ziemi, palik wbijany w pierś, koszmarne ból pozbawiający resztek zdrowego rozsądku. I notoryczne pytanie:

– Za co? Nikogo nie skrzywdziłem. W cieniu się kryłem. Za co?

Nie dali żyć odmieńcowi.

A teraz wygrzebywał się, jako nie wiadomo kto.

* * *

Nie męczył się wcale, to wykluczone. Za to dręczyło go pragnienie. Takie niemożliwe do zaspokojenia.

Ale wygrzebał się wreszcie. Sięgnął do piersi, wyciągnął z niej jakieś próchno. Pozostałości po dawnym paliku. Czas zniweczył drewno. Ciało nie ruszył.

Z jednej strony paliło go nieznośne pragnienie, z drugiej jednak połamana ludzka godność. Nie tak powinien kończyć. Nie jak zwierzę. Obok wyrastał mur, po drugiej swej stronie obiecujący sen wiekuisty, wieczne odpocznienie. Z takim przekonaniem dorastał. Więc tam mu trzeba.

Zatem ruszył, nie zwlekając.

I zawył.

Ból jaki go ogarnął był większy od tamtego, gdy wbito mu kołek w piersi, choć wtedy żył jeszcze. Tu cała istota wywracała mu się na drugą stronę, palona żywcem. Znowu męka nieznośna. Ale ubić nie zdołała.

Wcześniej odstąpił.

Droga zawarta.

A jednak spróbował ponownie. Taki ludzki los, dopełniający się po życiu, spocząć w ziemi uświęconej kośćmi przodków. Wyciągnął ręce, gotów na wszelki ból.

Żaden nie nadszedł.

Zdumiał się.

„Zmogę” – myślał, napierając.

Po prostu został odepchnięty. Równie dobrze mógłby się łudzić, że przebije się przez mur, używając pięści.

Spróbował znowu, tam leżeli jego przodkowie i rodzina, kupił sobie to miejsce, pochodząc od nich.

Nic to nie dało.

Zapłakał. Gardłowym charkotem tylko i marszczeniem zeschniętej skóry wokół oczodołów, bo łez ronić jak człowiek już nie umiał.

Bezradnie zasiadł przed murem i gapił się na jego rozjaśniającą się powierzchnię. Rysujące się pęknięcia, ubytki, pnący się mech, któremu było wolno. Trup patrzył zazdrośnie, czując równocześnie narastający niepokój. Dzień go wywoływał. A wywołaniec na niego nie czekał. Niewolił go za to zwierzęcy lęk, tak paniczny, że spychający rozum w otchłanie pierwotnego instynktu. Jak robak podążył w stronę rozkopanego grobu. Grzebał w ziemi, by się w niej schować.

„Zwierzę, zwierzę” – powtarzał sobie z goryczą. Ale po niej nadeszła wściekłość.

Już nic ludzkiego w nim nie pozostało.

Dzień zastał go osłoniętym ziemią i śniącym o tym, że coś się dokona.

I dokonywało.

* * *

Kiedy wybudził się z letargu, wiedział, że jest już kimś innym.

Zupełnie.

Wygrzebał się spod ziemi. Cmentarz nie pociągał do siebie. Obce miejsce, które nic nie obiecywało. Ryba nie tęskni za pustynią. Pokusa umarła. Za to spojrział w drugą stronę.

Gwar w ludzkiej osadzie, choć noc zapadła.

Pragnienie wzywało.

I wyrównanie zadawnionych rachunków.

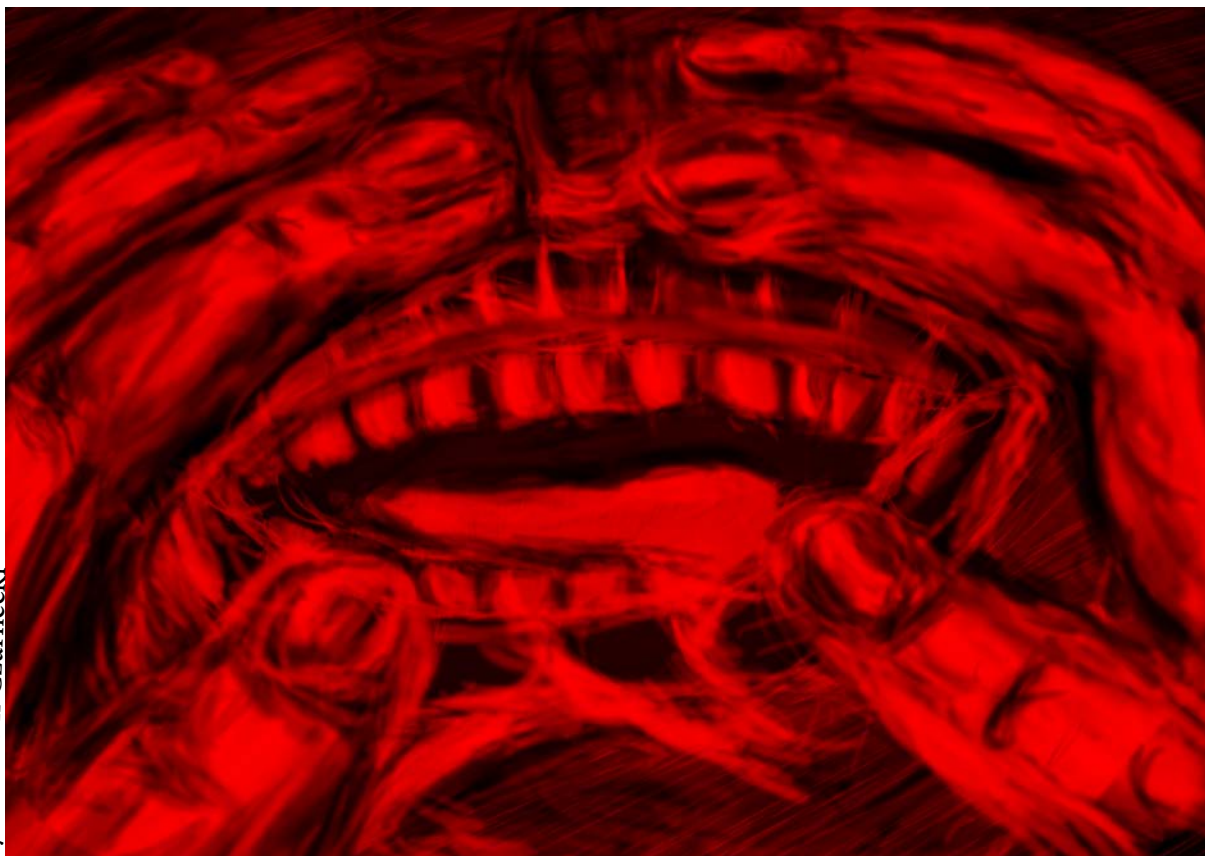
Odruchowo zacisnął pięści.

Pazury wbiły się w zeschnięte ciało. Choć ono już niedługo takie. Wkrótce zostanie skąpane w posoce.

Był już kimś innym, zatem rozprostował palce, pazurów miał używać przeciw innym, nie sobie.

Powrotu nie było. Motyl nie stanie się larwą, rozwój to nie droga, którą przebywa się wstecz.

Więc by wszystko się dopełniło, zgodnie z narzuconym porządkiem, ruszył naprzód.



PEDOPHILE GO!

Tomasz Siwiec

*Całował po nóżkach każdego paluszka
Mokra chusteczka zatkała usteczka.
Ciężar grubasa przygniata bobasa.
Na kogo wypadnie na tego bęc!*

*Sutanną swobody zamiecie dowody.
Z ambony i z tacy złym piekłem postraszy.
A może znów trafi na innej parafii.
Na kogo wypadnie na tego bęc!*

Jeden martwy ksiądz.

– Od czego zaczynamy?

Kobieta sięgnęła po kombinerki i zbliżyła się leżącego na środku pomieszczenia człowieka. Mężczyzna był nagi. Jego tłuste brzuszysko unosiło się i opadało pod wpływem przyśpieszonego oddechu. Na wytatuowanych dłoniach i stopach miał mocno zaciśnięte metalowe pętle, uniemożliwiające wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Dłonie oraz stopy zrobiły się fioletowe z powodu zablokowanego dopływu krwi. W ustach pojmanego mężczyzny znajdował się drewniany knebel.

– Najpierw oberwę mu fiuta, a potem rozgniotę jaja – stwierdziła, strzelając metalowymi szczękami kombinerek.

Pojmany syknął z przerażenia, wytrzeszczając przekrwione oczy. Na jego czole nabrzmiała gruba, purpurowa żyła. Przez chwilę szarpał się niczym zwierzę złapane w pułapkę, ale prędko znieruchomiał, zdając sobie sprawę, że i tak nie ma szans na ucieczkę. Widać było, że jest kompletnie oszołomiony. Nie miał pojęcia jak się tutaj znalazł ani kim są otaczający go ludzie.

Mężczyzna, który stał obok kobiety, uśmiechnął się na widok unieruchomionego człowieka. Nareszcie jego marzenie się spełniło. Prawie dwanaście lat czekał na ten moment. Jeszcze kilka dni temu nie uwierzyłby, że to wszystko może się ziścić. Widać jednak życie potrafi zaskakiwać. A wszystko dzięki tej cudownej aplikacji. Kiedy kilka dni temu dyrektor więzienia zapukał do ich drzwi, nawet przez głowę mu nie przeszło, jaką za chwilę otrzymają propozycję. Nagrodą były nie tylko spore pieniądze, ale także ten śmieć, który dokładnie dwanaście lat temu zgwałcił i zamordował ich ukochaną czteroletnią córeczkę. Właśnie ten zwyrodnialec leżał teraz u nich w piwnicy. Unieruchomiony i kompletnie przerażony.

– Tylko powoli – powiedział mężczyzna. – Pamiętaj, że musimy go przetrzymać jak najdłużej.

Plan był taki, że z cienkiej, przezroczystej rurki, która przymocowana była do tylnej części głowy zwyrodnialca, powinien zacząć sączyć się lekko żółtawy płyn. Dopiero wówczas będzie wiadomo, że ta gnida odpowiednio cierpi.

Labotomina.

Kobieta zbliżyła się do bioder pojmanego i rozchyliła szczęki kombinerek. Zanim zacisnęła je na jego mosznie, spojrzała jęczącemu z przerażenia mężczyźnie w oczy. Skrzywiła się z obrzydzeniem na widok jego twarzy i powoli zaczęła zaciskać rękojeść. Ofiara wierzgała na wszystkie strony, sycząc z bólu. Stalowe zęby coraz mocniej wgryzały się w napęczniałe jądra. Na czole pedofila pojawiły się grube krople lepkiego potu.

– Ją też bolało, skurwysynu – powiedział stojący nad ofiarą mężczyzna. – Teraz

poczujesz to, co ona.

Kobieta zacisnęła rękojęść do oporu. Z włochatej moszny trysnęła gęsta krew. Brunatna posoka zachlapała brudną podłogę.

Zakneblowany człowiek tak mocno przygryzł knebel, że aż popękało mu kilka przednich zębów. Po drewnianym przedmiocie oraz brodzie pociekła krew.

W tej samej chwili w przezroczystej rurce pojawił się płyn.

Para spojrzała sobie w oczy i wymieniła uśmiechy.

– Dopiero zaczynamy – powiedziała kobieta, zaciskając kombinerki na drugim jądrze.

Zboczeniec miotał się i szarpał, wydając z siebie szereg niehumanicznych jęków. Jego ciałem wstrząsnął brutalny skurcz, kiedy w powietrzu rozległ się cichy odgłos pęknięcia kolejnego jądra.

– Aż tak bolało? – zażartowała cienkim głosem, odkładając na półkę kombinerki. – Spokojnie. Rozluźnij się i ułóż wygodnie. Mamy dla ciebie coś ekstra.

Sięgnęła po starą maszynkę do mielenia mięsa. Już wcześniej wspólnie z mężem obmyślili, jakich użyją środków, aby to konające bydlę zapłaciło za swoje czyny. Urządzenie było ciężkie i bardzo zardzewiałe. Nie używali go już od jakiegoś czasu. Teraz korzystało się z bardziej nowoczesnych sprzętów. Do tej roboty nadawało się jednak idealnie.

Uwięziony na moment zemdlał, ale małżeństwo było pewne, że nowa zabawka powinna go szybko rozbudzić.

Kobieta przesunęła linki krępujące jego nadgarstki aż po łokcie i mocno docisnęła pętle. Następnie przymocowała maszynkę do znajdującego się tuż obok stolika i włożyła do środka fioletową dłoń pedofila.

Obudził się, kiedy jego palce zaczęły się wkręcać w stalową śrubę. Przez chwilę mamrotał coś pod nosem, ale kiedy w powietrzu rozległ się trzask miażdżonego nadgarstka, jego ciałem wstrząsnął kolejny spazm bólu.

Kobieta roześmiała się na głos, kiedy kilka kropel krwi ochlapało jej policzki.

Do rurki wpłynęła kolejna porcja żółtawego płynu z mózgu i teraz ciecz zaczęła wyciekać w kierunku podstawionego niżej wiaderka.

Zboczeniec jęczał przeraźliwie. Spojrzał w stronę dłoni. Ręka wykręcona była pod nienaturalnym kątem, a jej końcówka zniknęła w stalowym otworze. Zawył jak opętany

Kobieta nie przerywała kręcenia stalową rączką. Kiedy cała dłoń zniknęła we wnętrzu, maszynka zaczęła stawiać opór. Trzeba było użyć więcej siły. Nie tak łatwo było zmielić twarde kości. Na ratunek jednak rzucił się mąż. Rączka drgnęła w przód i z sitka maszynki

zaczęła wylewać się krwawa maź wraz ze zmielonym mięsem i resztkami kości palców.

Uwięziony charczał, wydając z siebie coraz dziwniejsze dźwięki. Najprawdopodobniej błagał o litość.

Dno wiadra zaczęło wypełniać się labotominą.

Każda kropla była warta kilkaset złotych.

Kiedy mężczyzna nie był już w stanie kręcić korbką, wyszarpał zmiądzoną dłoń z wnętrza maszynki.

– Może jeszcze uda się coś z niego wycisnąć zanim zdechnie – powiedział, ocierając pot z czoła.

Widać było, że po takich torturach pedofil zaczynał totalnie odpływać. O tym, że jeszcze żyje, świadczyła jedynie unosząca i opadająca klatka piersiowa.

– Nie tak prędko – poklepała go po policzku kobieta.

– Cały się trzęsie, biedactwo. Może mu jest zimno? Podgrzejemy go troszeczkę?

Mężczyzna podszedł do znajdującego się w piwnicy pieca i otworzył na oścież ciężkie, stalowe drzwi. Ze środka buchnęły gorące płomienie.

Kobieta szarpnęła ciałem zboczeńca w dół, w taki sposób, że jego nogi teraz luźno zwisały z brzegu stolika.

– Pchamy – polecił mężczyzna, popychając stolik na kółkach w stronę pieca.

Kiedy dojeżdżali, kobieta uniosła nogi pedofila i w odpowiednim momencie położyła je na rozpalonych drewnach we wnętrzu pieca.

W powietrzu natychmiast rozniósł się mdły zapach przypalonej skóry.

Zakneblowany człowiek oprzytomniał i zaczął się rzucać po całym stole. Jego stopy w jednej chwili pokryły się przezroczystymi bąblami, które zaraz potem pękały, skwiercząc w jęzorach buchającego ognia. Kolejne krople labotominy spłynęły do wiadra.

– Zaraz zdechnie – stwierdziła kobieta, biorąc do ręki śrubokręt i nożyce do cięcia blachy. – Umilmy mu ten moment, kochanie – dodała, wręczając mężowi nożyce.

Spod spalonego mięsa można już było dostrzec biel kości. Gęsty strumień piany pomieszanej z żółcią oraz krwią tryskał spomiędzy zakneblowanych ust ofiary.

Para zabrała się do ostatecznej zemsty za śmierć swojej córki. Czubek śrubokręta zanurzył się w gałce ocznej. Jej zachlapana, ociekająca krwią ręka wędrowała to w górę, to w dół, dziurawiąc płonące ciało gdzie popadnie. Stojący obok mężczyzna odciął mu uszy, nos i również dźgał zboczeńca w losowo wybrane części ciała. Wreszcie leżące przed nimi zwłoki ostatecznie znieruchomiały. W niczym nie przypominały już istoty ludzkiej, a bardziej zwęgloną i zmasakrowaną papkę okaleczonej skóry i rozprutych wnętrzności.

Po wszystkim, zgodnie z instrukcją, należało odciąć wychodzącą z głowy rurkę oraz zabezpieczyć wydalony płyn. W tym momencie to właśnie on był najcenniejszy.

Kobieta pocałowała czule męża i sięgnęła zakrwawioną krwią dłonią po telefon komórkowy.

– Dzień dobry. Chciałam zgłosić wykonanie zadania. Wszystko poszło zgodnie z planem. Mamy dla was sporą ilość tej substancji. Tak. Czekamy. Do widzenia.

– Pewnie zastanawiacie się, co tutaj się wydarzyło. Zaraz wam wszystko opowiem. Z pewnych względów nie mogę się przedstawić, ale zdradzę, że jestem dyrektorem jednego z polskich więzień. Jest to więzienie o zastrzyżonym rygorze, do którego przyjmowani są najgorsi z bandytów. Mordercy, gwałciciele, pedofile, degeneraci oraz tym podobna śmietanka. Oczywiście staramy się ich resocjalizować. Prowadzimy programy naprawcze, resocjalizacyjne, ale, szczerze powiedziawszy, robimy to tylko z czystego obowiązku. Nie ma w tym większego sensu, bo czas pokazał, że tych ludzi nie da się zmienić ani naprawić. Ich zepsute mózgi nie potrafią sprawić, aby dostosowali się do normalnej reszty społeczeństwa. Każdy pedofil po wyjściu na wolność myśli tylko o jednym. Każdy! Zresztą, jak to ma się do rodzin, którym zgwałcono lub zamordowano dziecko? Przecież to oni płacą podatki, tym samym żywiąc morderców swoich dzieci. To rodzice zamordowanych fundują oprawcom swoich dzieci wszelkie wygody, które państwo z racji obowiązujących przepisów zmuszone jest wdrażać na miejscu odbywania kary. To nie jest w porządku i my, służba więzienna, doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. Myślę, że właśnie dlatego właśnie powstało coś takiego jak PEDOPHILE GO!. Jest to zwykła aplikacja komórkowa. Działa na bardzo podobnych zasadach, jak znana wszystkim aplikacja POKEMON GO!. Kojarzycie? No jasne, że tak. Dzieciaki biegały po mieście i lasach w poszukiwaniu pokemonów. Tyle tylko, że w przypadku POKEMON GO! wyszukujemy wirtualne postacie, a z kolei w PEDOPHILE GO! – zbrojców, którzy po odsiedzeniu wyroku wyszli na wolność.

Całą akcję wymyślił naczelnik jednego z więzień, znajdującego się w Stanach Zjednoczonych, który również nie był zadowolony z działającego tam prawa. Zabawa polegała na tym, że takiemu mającemu wyjść na wolność delikwentowi należało niepostrzeżenie zaaplikować czip, który zazwyczaj chowaliśmy w zupie. Pedofil połykał mikro pluskwę, która ze względu na swą haczykowatą budowę osadzała się w jego wnętrznościach i tym samym nie zostawała wydalona. Od tej pory mogliśmy go śledzić przy

pomocy aplikacji PEDOPHILE GO!. Degenerat nie mógł się nigdzie ukryć. W zabawie zawsze brali udział nasi strażnicy, który między sobą obstawiali zakłady, który pierwszy dorwie skurwiela. Umawiali się o jednej godzinie, a potem urządzali sobie polowania. Wygrany zgarniał kasę. Na początku po takim pościgu pozbawiali delikwenta życia. Jego truchło zakopywali gdzieś w ustronnych miejscach, bo przecież i tak nie było obawy, że ktoś będzie się o takie ścierwo zamartwiał czy go szukał.

Jednak jakiś czas temu skontaktował się ze mną naczelnik, który sprzedał mi aplikację, z pewną propozycją. Tłumaczył, że znalazł sposób na to, aby PEDOPHILE GO! przysłużyło się społeczeństwu. Z samego biegania oraz znęcania się nad zbrojeńcami nie było większego pożytku. No może poza fajną zabawą, ale teraz taki pedofil mógł zamienić się w doskonały materiał do ratowania ludzkiego życia. Szkopuł tkwił w odpowiednim przygotowaniu oraz wydobyciu z jego ciała pewnej substancji, do której należało podjąć kilka kroków. Ta substancja to labotomina która okazała się świetnie działającym środkiem w leczeniu raka. Gwarantowała niemal całkowitą remisję chorób, nawet w daleko posuniętym stanie zaawansowania. Problem polegał jedynie na tym, że owa substancja nie występuje w naturalnym środowisku, a jedynym miejscem, gdzie można ją pozyskać, okazał się ludzki mózg. Sam z siebie nie wytwarza jednak czegoś takiego, potrzebny do tego jest narastający ból. Nie chodziło jednak o taki zwykły ból, jak przy wyrwaniu zęba. To musiał być ból zahaczający o granice ludzkiej wytrzymałości. Niewyobrażalne tortury. Tylko wówczas nasze mózgi były w stanie ją produkować.

Nie muszę chyba dodawać, że ludzie nie mogli jej pozyskiwać w żaden legalny sposób. Jednak my postanowiliśmy to zmienić. Kontaktowaliśmy się z rodzinami zamordowanych oraz zgwałconych dzieci i proponowaliśmy układ. Dostarczymy im oprawcę ich dziecka. Zapewnialiśmy, że zadbamy o odpowiednie medyczne zaplecze możliwości, bo tylko lekarz mógł zainstalować tę rurkę w odpowiednim miejscu, aby po wpływie tortur wyciekała przez nią labotomina, a reszta zabawy pozostawała w wyobraźni oraz rękach opiekunów lub rodziców skrzywdzonego dziecka.

Oczywiście poza zemstą na pedofilu rodzice otrzymywali za płyn spory zastrzyk gotówki od instytucji medycznych. Im więcej płynu, tym więcej pieniędzy. Każda kropla była na wagę złota. Zatem im dłużej udało im się utrzymać przy życiu torturowanego, tym więcej pieniędzy mogli zarobić. Czyż to nie było piękne? Taki szczur mógł posłużyć za medykament ratujący życie innym ludziom, a rodzina mogła zaspokoić w sobie potrzebę zemsty. Żaden rodzic nie jest zadowolony, kiedy morderca jego dzieci zostaje wypuszczany na wolność. Nie interesowało nas, co rodzice robią z pieniędzmi, choć z tego, co zdążyłem zauważyć,

zazwyczaj przekazują je na ratowanie chorych dzieci. Dlatego właśnie ten układ był idealny.

Teraz jednak mam dylemat, bo zaledwie przed kilkoma godzinami dotarła do nas nowa przesyłka. Znajdował się w niej nowy, ulepszony model Aplikacji PEDOPHILE GO 2018 EXTRA!. Tym razem jednak nie potrzebowała ona żadnych czipów. W rozmowie telefonicznej, którą przeprowadziłem z naczelnikiem więzienia, dowiedziałem się, że aplikacja działa zdalnie oraz intuicyjnie. Na początku tego nie rozumiałem, ale chwilę potem wszystko było już jasne. Należało uruchomić skaner, który emitował fale, wykorzystując do tego nadajniki wszystkich sieci komórkowych i w zależności od ustawionego przez nas zasięgu, potrafił zdalnie zidentyfikować potencjalnego pedofila. Wszystko działało się za sprawą ludzkich mózgow, które w momencie seksualnej reakcji na dziecko uruchamiają tak zwane endogenne substancje. W momencie ich wytworzenia mózg produkuje mikro wyładowania, które natychmiast przechwytuje nasz sygnał, tym samym wskazując miejsce przebywania potencjalnego pedofila.

Mój dylemat polega na tym, że nie wiem, co mam o tym myśleć. Uruchomiłem aplikację i ustawiłem skaner na odległość stu kilometrów. Już po krótkiej chwili na ekranie ukazała się mała niebieska mapka z naniesionymi czerwonymi punkcikami. Te punkciki to oczywiście miejsca, w których właśnie znajdowali się napaleni pedofile. Było ich sporo. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że gdy tylko wprowadziłem odczyty współrzędnych w sieć, aby zlokalizować te miejsca, to okazało się, że są to adresy wszystkich najbliższych plebanii w naszym województwie. Tak się tylko zastanawiam, bo kiedy myślę o takim księdzu. Pożytek z niego żaden. To parafianie zmuszą go karmić, ubierać oraz utrzymywać. Znacie to skądś?

Zresztą jest tego tyle, że sami i tak nie damy rady.

Dobra, bierzemy się do roboty. Macie ochotę się zabawić?

rys. Roman Panasiuk



POKRZYWDZONY

Karol Mitka

Hieronim umierał. Proces ów rozpoczął się całkiem niedawno, przed ledwie kilkoma dniami. Zapoczątkowało go trzaśnięcie drzwiami, tuż po tym, jak Julka wykrzyczała chłopakowi, co myśli o nim oraz o ich związku. Wrzeszczała, że ma tego wszystkiego dość, że doskonale rozumie, iż Hieronim miał ciężkie dzieciństwo, że cierpi na nerwicę, depresję i syndrom DDA. Że tak, kocha go, ale już po prostu nie wytrzymuje jego ciągłego czepiania się o pierdoły, scen zazdrości, ciągłych awantur i następujących po nich cichych dni. Oznajmiła, że rozstanie wyjdzie obojgu na dobre. Potem wyszła.

Hieronim umierał. Pierwszym symptomem nadchodzącej nieuchronnie śmierci był nieświeży oddech. Niby nic takiego, jednak smrodu z ust nie dało się niczym zamaskować. Nie pomagały specjalne pasty do zębów, wychwalane w reklamach cudowne specyfiki ani babcine receptury. Tydzień później podczas porannej toalety chłopak zauważył, że gniją mu dziąsła, a zęby czernieją. Cera stała się jakby bledsza, skóra sucha i papierowa. Do tego doszło drętwienie kończyn oraz pogłębiające się uczucie otępienia. Stany depresyjne nasilały się, aż w końcu przeszły w jeden, nieustający, psychiczny dół. Hieronim zaległ na łóżku, a jego jedynym zajęciem stało się wpatrywanie w sufit, rozmyślanie oraz picie. Mieszkanie opuszczał rzadko i tylko po to, by zaopatrzyć się w zapas tanich win.

Hieronim umierał. Po miesiącu pojawiły się pierwsze rany. Początkowo miały postać niepozornych, czerwonych kropek wykwitających w różnych miejscach na ciele Hieronima, z upływem czasu przekształcających się w ropiejące czyraki. Te pękały, a wylewająca się z nich cuchnąca ciecz wymieszana z krwią doprowadzała do zapalenia skóry, która gniła i odchodziła płatami od mięśni.

Hieronim umarł. Trzy miesiące od wystąpienia pierwszych objawów dopadła go śmierć. Wywlekleła z niego duszę, gdy leżąc na łóżku, dopijał najpodlejsze wino. Nie konał długo. Wstrząsnął nim jeden niezbyt silny spazm. Zwieracze rozluźniły się gwałtownie i na pościeli, i tak utaplanej ropą, pojawiła się dodatkowo plama ekskrementów. Kostucha z obrzydzeniem otarła ostrze kosy rękawem, po czym ruszyła ku kolejnej ofierze.

Hieronim zmartwychwstał. Pierwszym, co zobaczył po otwarciu oczu, były muchy. Cały tabun, unoszący się nad nim. Jedna, skłębiona, czarna masa. Ich uporczywe brzęczenie każdego normalnego człowieka doprowadziłoby na skraj szaleństwa. Tyle że Hieronim nie był już normalnym człowiekiem i widok setek tysięcy owadów nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Chłopak najpierw usiadł na łóżku, następnie opuścił stopy na podłogę i na zdrętwiałych nogach powłókł się do łazienki. Gdy dotarł na miejsce, stanął przed lustrem. Widok własnego odbicia nie wzbudził w nim żadnych emocji, choć jeszcze jakiś czas temu, gdyby je ujrzał, uciekłby z krzykiem. Beznamiętnym wzrokiem obrzucił pozbawione skóry ciało. Pobieźnie zlustrował pasma gnijących, nadżartych przez czerwie mięśni oplatających żółknięte kości. Musnął spojrzeniem wijące się w trzewiach robactwo. Na dłużej zatrzymał się tylko przy sercu. Sercu z kamienia. Sercu poznaczonym setkami

blizn. Sercu poprzebijanym tysiącami igieł. Złapał jedną z nich, pociągnął, ale tkwiła mocno. Nie zdołał jej wyrwać. Za to w jego umyśle wykrystalizował się obraz.

Dom rodzinny. Duży pokój. Stół. Na stole wódka. Rodzice na zmianę opróżniający z gwinta butelkę za butelką. On, mały, może dwulatek. Podchodzi do matki, szarpie ją za rękaw. Wyciąga rękę, chce się przytulić. Głośne plasknięcie. Łapie się za policzek. Płacze. Matka wyzywa go, krzyczy, by dał jej spokój. Każe spierdalać.

Szarpnął kolejną, wywołując kolejną wizję.

On, w wieku trzech lat, przewieszony przez ojcowskie kolano. Kabel od odkurzacza ze świstem przecina powietrze. Uderza w nagie, fioletowe już pośladki. Kolejny cios rozcina skórę, na ścianę bryzga krew. Ojciec nie przerywa. W jego oddechu czuć alkohol.

Spróbował z jeszcze jedną. I tym razem pojawiły się wspomnienia.

Znów dom. Matka z ojcem cały dzień pili. Całą noc awanturowali się. Nie spał, musiał stać pod ścianą z rękoma uniesionymi w górze. Teraz krzyczą na niego, bo dostał uwagę. Zasnął na lekcji. Matka uderza w twarz, ojciec wali pod żebra. Hieronim pada. Boli go brzuch, ale ten ból jakoś znosi. Tego drugiego, psychicznego, nie może wytrzymać.

Następna.

On, chory. Leży w łóżku z gorączką. Ma dreszcze, chce mu się pić. Płacze, ale nikt go nie słyszy. Rodzice śpią na podłodze, w kałuży moczu i wymiocin. Wypelza spod kołdry. Czołga się do kuchni. Na kuchence stoi czajnik z wodą. Nie sięgnie. Tak blisko, a tak daleko. Mdleje. Budzi się i znów odpływa. Nikt nie kupił dla niego leków, bo nie byłoby na wódkę.

Chłopak złapał jeszcze za kilkanaście igieł, a każda z nich ujawniła jedną drzemającą w nim traumę. Oglądał siebie poniżanego przez rodziców, bitego, maltretowanego psychicznie. Zobaczył swoich kolegów, wytykających go palcami, śmiejących się, dogadujących. Ublizali mu od biedaka, łajzy, syna lumpów. On przemykał jak cień między blokami, tak, by nikt go nie dostrzegł. Marzył wtedy, żeby stać się niewidzialnym. Nie rozumiał, czym zasłużył na tak podłe życie. Poczucie winy, tłumiony gniew, bezsilność, strach – te i inne emocje wyniszczały go. Czuł się jak tykająca bomba, która nie może wybuchnąć. A może tylko bał się wreszcie eksplodować?

Nagle pojawił się głód. Nie ludzkiego mięsa czy mózgów. Nie krwi ani zemsty. Na razie pozostawał nieokreślony. Umieścił się nie w żołądku, ale pod mostkiem, w okolicy splotu słonecznego. Wiedziony tym nieokreślonym pragnieniem, Hieronim opuścił łazienkę i skierował się ku drzwiom wyjściowym. Wyszedł na świat.

Wiódł go zew. To było tak silne uczucie, że nie mógł się oprzeć. Nie wiedział dokładnie ku czemu zmierza, ale parł naprzód jak pies, który wywąchał ciekającą sukę. Pod obnażonymi żebrami coś płonęło. Coś domagało się zaspokojenia. Nadal nie domyślał się, czym nasycić ten zwierzęcy głód, ale zaufał instynktowi. Zresztą, instynkt to jedyne, co mu zostało. Śmierć pozbawiła go wszelkich wyższych uczuć. Był jak wyciśnięty z soku owoc, w dodatku solidnie nadzarty pleśnią. Sama skórka z odrobiną mięszu, pokrytego zielonkawym nalotem.

Mijani ludzie zerkali na niego ukradkiem, pokazywali palcami, bądź odwracali wzrok z obrzydzeniem. Niektórzy przechodzili na drugą stronę ulicy, zatykając nos. Hieronim nie zwracał na nich uwagi. Z wyciągniętymi przed siebie rękoma kroczył tam, gdzie czuł, że musi. Choć nogi miał sztywne i poruszał się niczym drewniana kukielka, nie poddawał się. Nie mógł.

Jacek i Agata poznali się jeszcze w podstawówce. Już wtedy coś między nimi iskrzyło, ale nie potrafili tego nazwać. On był dla niej ulubionym kolegą, ona dla niego ulubioną koleżanką. Zawsze siedzieli razem w ławce, a po lekcjach wspólnie odrabiali zadania domowe. Potem szli na podwórko. Byli nierozłączni. Im stawali się starsi, tym mocniejsza więź ich łączyła. W liceum zrozumieli, że to miłość wzięła ich pod swe skrzydła i otuliła ciepłym puchem. Na studiach zaręczyli się. Teraz, siedząc nad brzegiem płynącej nieopodal miasta rzeczki, ulubionym miejscu ich dziecięcych zabaw, planowali, jak będzie wyglądać mające się odbyć już za niecały miesiąc wesele. Wtuleni w siebie, przekomarzali się, czy wujka rozwodnika posadzić koło kuzynki, starej panny, czy lepiej, dla hecy, usadowić zgryźliwego dziadka naprzeciw znienawidzonej przez niego stryjenki. Rozmowa pochłaniała ich całkowicie.

Wieczór był piękny, zachodzące słońce zalewało okolicę intensywnym, pomarańczowym światłem. Niebo nabrało koloru soczystej czerwieni. Wydawać by się mogło, że nic nie jest w stanie zmącić sielanki dwojga zakochanych.

Niespodziewanie Agata głośno westchnęła, przesłoniła usta dłonią, a drugą rękę wyciągnęła w kierunku pobliskich zarośli. Jacek zmrużył oczy, by lepiej dojrzeć to, co pokazywała. Jemu też na chwilę zaparło dech w piersi.

Obok krzewów stał człowiek, a raczej coś, co mogłoby zostać z człowieka po kilku tygodniach leżenia w trumnie. Gnijące, pozbawione skóry ciało cuchnęło rozkładem. Wytrzeszczone, zmętniałe oczy poruszały się powoli, lustrując okolicę. Nad istotą unosiły się muchy, których uporczywe brzęczenie zagłuszało wszelkie odgłosy przyrody. Monstrum uczyniło krok naprzód.

Jacek i Agata wstali. Trzymali się za ręce. Zapragnęli uciec, ale jakaś siła nie pozwoliła im ruszyć się z miejsca.

Hieronim podszedł do nich. Czuł, że dzięki tej dwójce zaspokoi swój głód. To tu, do nich sprowadził go zew. Każdemu położył nadgryzioną rozkładem dłoń na splocie słonecznym i rozpoczął ucztę. Nie trwała długo. Gdy skończył, oboje padli nieprzytomni, a on odszedł. Wiedział, że ten posiłek to kropla w morzu potrzeb, że głód powróci.

Jacek i Agata ocknęli się późną nocą. Nie pamiętali dziwnego spotkania. Za to doskonale wiedzieli, że coś się w nich wypaliło. Że to, co kiedyś spajało ich serca, bezpowrotnie pękło. Po prostu nie pasowali do siebie. Tydzień później rozstali się i odwołali ślub.

Rodzina pięcioletniego Piotrka była tą jedną na milion, czyli normalną. Ojciec, dyrektor banku, umiał doskonale wyważyć czas pracy i czas dla rodziny, dzięki czemu jego stosunki z najbliższymi oraz podwładnymi układały się w zasadzie bezproblemowo. A nawet jeśli jakieś kłopoty się pojawiały, Henryk potrafił rozwiązywać je w sposób mądry, tak, by nikogo nie skrzywdzić. Był wymagającym i surowym, ale sprawiedliwym przełożonym. Wśród kadry pracowniczej cieszył się ogromnym szacunkiem.

Matka chłopca, główna księgowa w międzynarodowej firmie, spełniała się zarówno jako pracownik, jak i matka. Piotrek był jej oczkiem w głowie. Aby lepiej wychowywać syna, ukończyła kilka kursów z psychologii oraz pedagogiki.

To wszystko sprawiało, że życie chłopca było beztrioskie. Malec cieszył się spokojnym dzieciństwem. Nie znał takich uczuć jak lęk, nienawiść, agresja, nieufność. Dlatego, kiedy bawiąc się w przydomowej piaskownicy, zobaczył na swoim podwórku dziwnego pana, nad którym unosiło się mnóstwo owadów, nie uciekł z krzykiem ani nie podszedł do niego. Wstał i przyglądał się z zainteresowaniem. Dopiero gdy nieznajomy uczynił ku niemu kilka kroków, postanowił zawołać tatę. Tata zawsze powtarzał, że jeśli zobaczyłby na posesji kogoś obcego,

ma natychmiast o tym poinformować. Niestety, głos jakby uwiązł mu w gardle. Chciał pobiec do domu, jednak jego nogi stały się zupełnie bezwładne.

Dręczony palącym głodem, Hieronim podszedł do malca i położył mu dłoń na piersi. Przez jego ciało przebiegł przyjemny dreszcz, a zzerający od środka ogień nieco przygasł, gdy Piotruś stracił przytomność.

Zemdlonego syna znalazła matka. Natychmiast zadzwoniła po pogotowie. Po przeprowadzeniu serii szczegółowych badań i wykluczeniu chorób, pacjent został wypisany do domu. Fizycznie było z nim wszystko w porządku, jednak w psychice malca zaszły poważne zmiany. Nagle zaczął myśleć o tym, że życie jest kruche. Że rodzice mogą mieć wypadek lub się pochorować. Że i on nie jest bezpieczny. Dręczyły go wizje wojen i kataklizmów. Stał się nieufny i skryty w sobie.

Bliźniacy Tomek i Paweł skoczyliby za swoim dziadkiem w ogień. Stary Dionizy był typem człowieka, który dobro innych przedkładał nad swoje własne. Zawsze miły i uczynny, ciepły i przyjacielski. Poproszony o pomoc, nigdy nie odmawiał. Chętnie dzielił się życiowym doświadczeniem, dlatego chłopcy, gdy mieli jakiś problem, zamiast do rodziców, szli po radę do niego. Był dla nich wzorem do naśladowania. Szanowali go jak nikogo innego.

Także dzisiaj, tuż po tym, jak matka urządziła im karczemną awanturę o późne powroty z imprez, pędzili do dziadka, by zwierzyć mu się ze swojego problemu. Wiedzieli, że Dionizy nawet nie tyle stanie po ich stronie, o ile chłodnym okiem doświadczonego życiem nestora obejrzy sytuację z zewnątrz. I podsunie rozwiązanie. Polegali na jego słowie i zawsze starali się jakoś odwdziżyć za udzieloną pomoc. Choćby tabliczką gorzkiej czekolady, którą uwielbiał.

Droga do dziadkowego domu wiodła przez niewielki lasek. To tu drogę zastąpiła im dziwna postać. Początkowo nie widzieli jej, ponieważ stała skryta w cieniu, za to ich nosy wykrzywiły się od smrodu, jakiego nie czuli nigdy w życiu. Potem do uszu młodzieńców doszedł wibrujący dźwięk wydawany przez setki tysięcy skrzydeł. Wystraszeni, chcieli uciec, lecz nie mogli. Dosłownie skamienieli.

Hieronim wychynął z cienia. Podszedł do chłopców, których twarze na jego widok wykrzywiły się w grymasie niemego przerażenia i posilił się, przykładając im gnijące dłonie do piersi. Potem odszedł, pozostawiając obu nieprzytomnych na środku ścieżki.

Gdy przebudzili się, nie wiedzieli, co się wydarzyło. Do dziadkowego domu wyszli wcześniej rano, lecz teraz słońce chyliło się ku zachodowi i wiedzieli, że powinni wracać. Zresztą, jaki był sens odwiedzać dziadka? Przecież to tylko zramolały, stary człowiek, wymądrzający się wiecznie tetryk, uważający, że tylko on ma rację. Stwierdzili, iż szkoda ich cennego czasu na wizyty u tego nudnego zgreda. Obraz Dionizego zbrzydł w ich umysłach. Wyblakł, zszarzał. Więcej nie odwiedzili mężczyzny, który jeszcze w tym samym roku pożegnał się ze światem. Tomek i Paweł nie pojawili się na pogrzebie.

Ignacy był pewnym siebie maklerem, odnoszącym sukcesy na światowej giełdzie. Teraz, wracając do domu po sfinalizowaniu niezwykle korzystnej transakcji, postanowił nieco skrócić sobie drogę. Wszedł w ciemną uliczkę ciągnącą się między dwoma kamienicami. Wtedy poczuł ten smród. Przypominał odór trupa. Słodkawy i mdlący. Dobrze wiedział, jak cuchną rozkładające się zwłoki. Kiedyś, po powrocie z wakacji, znalazł w swojej piwnicy martwego bezdomnego. Nieszczęśnik, tuż po tym, jak włamał się do willi Ignacego, zszedł na zawał. Leżał ponad miesiąc w upale. Ten „aromat” wbił się maklerowi w umysł jak gwóźdź w deskę.

Ignacy zatkał nos i chciał zawrócić, ale wtedy coś lepkiego uderzyło go w pierś. Świat zawirował. Zapadła ciemność.

Po tym dziwnym zdarzeniu jakby opuściło go szczęście. Stracił siłę przebiccia, intuicję. Nie działał już tak pewnie, bał się ryzykować. Partnerzy przestali z nim współpracować, klienci odeszli i Ignacy zbankrutował. Jego domem stała się ulica.

Po ostatnim posiłku Hieronima olśniło. Dotarło do niego, kim jest i co się tak naprawdę z nim dzieje. Zrozumiał, że łaknie czegoś, czego zabrakło mu w dzieciństwie – miłości, poczucia bezpieczeństwa, szacunku oraz pewności siebie. I wiedział już, że pewne rzeczy nie wrócą, że nie można zdobyć ich, krzywdząc innych. Nawet nieświadomie.

Uzmysłowił sobie, że może zostać wskrzeszony, jednak zależeć to będzie tylko od niego.

Było ich dziesięcioro. Dziesięcioro umarłych. Dziesięć cuchnących, gnijących truchłał, obdartych ze skóry wraków, na widok których każdy słuwał z obrzydzeniem. Dziesięć poznaczonych bliznami, poprzekłuwanych igłami kamiennych serc. Siedzieli w półokręgu na drewnianych krzesłach. Wśród nich, ona jedna. Ta, która wskrzesza. Uśmiechała się i jako jedyna nie spoglądała na zombie. Jej oczy widziały ludzi. Wskazała palcem na jednego z nich. Mężczyzna zabrał głos.

– Mam na imię Hieronim. Odkąd pamiętam, moi rodzice pili...



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

MISTERIUM GROZY

Howard Phillips
Lovecraft

Twórczość H. P. Lovecrafta jest dobrze znana polskiemu czytelnikowi, jednak zebrane w tej książce utwory w większości nie były publikowane lub miało to miejsce w niedostępnych już wydawnictwach. Większość z nich to opowiadania pisane wspólnie z innymi autorami. W *Wyzwaniu z Innego Świata* po raz pierwszy również prezentujemy wszystkie humorystyczne utwory Mistrza.

**WYZWANIE
Z INNEGO ŚWIATA**

WYDAWNICTWO
IX

wydawnictwoix.pl
misteriumgrozy.pl



SERYJNY DEWASTATOR

Marianna Szygoń

...pierwszą zabrałem do rezerwatu. Mam taką miejscówkę nad Moczanką, brzeg wąski, a zejście przez las w chuja strome. Za dnia jarają tam stada gimbusów, ale wieczorem bywa pusto. Mało kto jesienią szlaja się po chaszczach. Ksiuta od początku wyglądała na chętną, ale na miejscu skrewiła. Nie chciała się ruchać, tylko siedziała na zwałonym pniu i lampiła się na wodę. Pierdoliła coś o gwiazdach i niebie w głębinach, poetka jebana, a tu zaczynało piździć i dropsy się skończyły. Musiałem przywołać ją do porządku...

Tak, pierwszą znaleźli nad niemrawo płynącym strumieniem. Wytrzeszczonymi, nieruchomymi oczami wpatrywała się w przezierające pomiędzy usychającymi gałęziami niebo; w tym miejscu las prawie dotykał wody. Z szeroko rozwartymi udami z daleka przypominała przewrócone krzesło. Ze sztywno ugiętymi w kolanach nogami zastygła tak,

jak zostawił ją oprawca. Wiatr litościwie nawiał na naznaczony rysami nagi korpus sporo suchych liści, spod których wciąż sterczały piersi. Jeśli miała ubranie, zapewne zabrała je woda albo wywlekły beżpańskie psy. Na roztrzaskanej twarzy ziała ogromna dziura w miejscu ust. Wkoło zieleniały szkła z rozbitych butelek. Obrażliwy tatuaż, wydrapany na jej ciele, oprawca musiał zadać tak zwanym „tulipanem”: ten wciąż niezwiędły kwiat szeroko rozchyłał swe płatki, osłonięty od wiatru przez butwiejący pień.

Niewiarygodne, powtarzali wszyscy. Ten chłopak nie wyglądał na dewianta. Nie to, żeby pospolity dresiarz, syn meliniarzy, nie miał nic na sumieniu. Stróże prawa z Ostrychowa zdążyli go poznać, ale raczej nie jako geniusza zbrodni: poza drobnymi przekrętami i udziałem w zakończonych bójkami libacjach niewiele trafiło do jego kartoteki. Nawet teraz, gdy odkrywał wszystkie karty, w jego działaniach trudno było doszukać się seryjności. Wyglądały raczej na improwizacje.

W pokoju przesłuchań nie miałyśmy weneckiego lustra; to byłaby za droga sprawa dla małomiasteczkowej ostrychowskiej komendy, pamiętającej lata głębokiej komuny, a co dopiero dla zaadaptowanego na potrzeby śledztwa zdewastowanego zabytku. Cieszyło mnie to: wolę bezpośredni kontakt niż spoglądanie zza horyzontu zdarzeń cienkiej tafli szkła. Nie umknie mi żadne drgnienie mięśnia, ściągnięcie brwi czy skurcz powieki. Gesty powiedzą mi więcej niż słowa. Chłopak raz udawał, że lekceważy naszą obecność, raz patrzył wyzywająco, zapewne rozważając, co by mi zrobił, gdybym, jak tamte, wpadła w jego ręce. Nie inaczej traktował dwie zadufane w sobie śledcze z pobliskiej aglomeracji; marna to dla mnie pociecha. Ważne zdziury z miasta pogardzały takimi jak ja prowincjuszkami. Nie zanosilo się nawet na szorstką przyjaźń.

...z drugą pojechałem nad stawek przy „Ekstazie”. Z początku cipka była trochę sztywne, ale trochę przygrzaliśmy krystyną i impreza się rozkręciła. No, może nie tak ostro, jak ta libacja w burdelu na górze, która trwała w najlepsze. Miałem na to wkurwa z początku, ale miało swoje dobre strony. Wrzaski najebanej ferajny zagłuszały naszą radosną nawalankę. Nastukana niunia poszła po całości: przewracaliśmy kosze na śmieci, rozbijaliśmy ławki, ciskaliśmy butelkami w wodę, ale kiedy doszło do ruchanka, okazało się, że między nogami jest za szeroka. Musiała mi zrobić ręką, ale ciężką i twardą miała tę grabę. Wkurwiła mnie, suka...

Drugą znaleźli w wodzie. Nie unosiła się na powierzchni, pólleżąc na dnie, bo suchy początek jesieni jeszcze spłycił i tak dogorywający staw. Zauważyli ją spacerowicze, wałęsający się przy niedzieli po parku. Z daleka widzieli tylko bladą powłokę nagiego trupa unurzanego w szlamie. Dopiero z bliska można było dostrzec uszkodzenia: najwyraźniej

oprawca długo i zapamiętale uderzał ofiarą o okalający staw betonowy murek, kopał, ciął rozbitą butelką. Wgniecenia na plecach świadczyły, że skakał po niej w trudnym do wyobrażenia szale. Obrażenia twarzy przypominały pierwszy przypadek: tylko nieruchome oczy pozostały nietknięte, jakby zwyrodnialec chciał, by patrzyły do końca.

Dziwne, ale nawet w kostnicy nie zobaczyłam w nich strachu, gniewu czy żalu. Pozbawione wyrazu, przypominały sposób, w jaki patrzył na świat oprawca. W szarych, sprawiających wrażenie brudnych tęczęwkach zatrzymanego próżno poszukiwaliby jakiegokolwiek ludzkich emocji, gdyby tylko zamierzali to robić. Nawet gdy opisywał swoje wyczyny, zachowywał ten sam, niemalże znudzony wyraz twarzy.

Pozując na kukłę ozywającą jedynie na potrzeby zbrodni.

Pospolitość biła z jego twarzy. Nie tępota, choć nikt nie posądziłby chłopaka o wybitną inteligencję. Krótko ścięte ciemnoblonde włosy okrywały niezbyt regularną czaszkę. Niskie, pokryte krostami czoło, nazbyt wydatny nos i zbyt nisko osadzone uszy nie wyróżniały go z tłumu, czerwone plamy wokół nosa i ust sugerowały równię pochyłą. Ludzie codziennie mijają takich na ulicach, nie zaszczycając uwagą; dopiero gdy zmierzcha, przezornie schodzą im z drogi.

Z własnej woli nie zamieniłabym z nim nawet słowa.

...z trzecią poszedłem zwyczajnie w krzory. Kasy brakło, czaicie jak to jest, stuka się, co w łapy wpadnie, byle chętne było. Przy wiadukcie na Krótkiej chaszczy jest w chuja, a i do chaty blisko. Zajebałem ojcu jakiś tani kleik, ale marnie kopał, a pinda nie chciała tego kirać. Wciągnęła raz czy dwa i strzeliła focha, że chujowe. Wybredna się kurwa znalazła! Przybierała też jakieś dziwne pozy, ale tolerowałem, bo rozstaw miała w sam raz. Tyle, że gdy ja się podjarałem, ją ogarnęła głupawka. Szczyrzyła się jak pojebana, potem zaczęła się ryc: „Co tak długo? Zabierasz się do tego pierdolenia jak alfons do palenia w piecu!”. Nie wytrzymałem. Zero szacunku! Dostała wpierdol...

Trzecią znaleźli wczesną wiosną robotnicy reperujący tory. Zapewne długo leżała w gęstwinie nagich gałęzi, niezauważona lub pogardzana, okrywana raz po raz skąpo padającym śniegiem. Dewiant wyżył się na niej jeszcze brutalniej niż na dwóch poprzednich. Połamane kończyny, rozplątana pierś i otarcia na pniach, świadczące o tym, że wleczona ofiara musiała czepiać się drzew, dobitnie świadczyły o skali furii. Ślady aktywności seksualnej zdążyły zmyć deszcze. Rozrzucone szeroko ręce okrył całun zbutwiałych liści. Tym razem nie patrzyła w niebo: wyglądało na to, że oprawca siłą przycisnął twarz ofiary do podłoża; gdyby żyła, zapewne więcej nie złapałaby tchu. Zaskakujące, ale nie zmasakrował jej ust. Nawet po takim czasie błąkał się po nich kpiący uśmiešek, choć twarz zdecydowanie

zmieniła barwy.

Opisując ten przypadek, przesłuchiwany wreszcie zaczął okazywać emocje. Głos nabrał ostrości, potocznym słowom jeszcze częściej towarzyszyły przekleństwa, palce z białym osadem pod paznokciami zaciskały się w pięści i rozwierały, podświadomie przygotowywane do konfrontacji. Nic dziwnego, że tak długi czas dzielił trzecią i czwartą ofiarę: chłopak potrzebował przerwy.

...czwartą zabrałem w plenery. Ta była najlepsza ze wszystkich. Szykowna dupencja o skórze tak zjaranej, że mogłaby uchodzić za zagraniczną. Nie pierdoliła bez sensu, nie ryła jak głupia z byle kretyństwa, nie szczyrzyła ryja do innych kolesi. Pojechaliliśmy beemką starego do przeprawy na Kanale. Zgred zbierający kasę na promie przyglądał nam się bezczelnie; już wtedy czułem, że to był błąd. Obiecałem sobie, że wrócimy mostem, nadłożymy w chuja drogi, ale trudno. Po drugiej stronie kutas mnie zaswędziało i zamiast na Czarny Folwark, tam gdzie ruiny pałacu, skręciłem w las przy torowisku. Zaparkowałem i poszliśmy niby na szlifa, ale gdy zacząłem ją rozbierać, przyniosło jebanych rowerzystów. Też gapili się na nas jak popierdoleni. Piczkę nagle odeszła ochota, to poszarpałem ją trochę, ale nadjechała psiarnia. Pewnie zgred z promu doniósł. Spierdoliłem na torowisko, pociągnąłem sukę za sobą. Nadjeżdżała kolejka, ja zdążyłem, ona nie, resztę wiecie...

Lokomotywa powlokła czwartą po torach. Niewiele z niej zostało. Wtedy też – po raz pierwszy w związku z tamtym dochodzeniem – zatrzymano dewianta. Wtedy nie pałał chęcią do współpracy, inaczej zresztą kwalifikowano jego sprawę. Miejscowych śledczych interesowało przede wszystkim przywłaszczenie i niszczenie mienia. Chłopak zgrywał twardziela, nie wydał kumpli, którzy ukradli furgon dostarczający wyposażenie do nowo otwieranego sklepu w galerii w pobliskiej aglomeracji. Gdy jednak się rozgadał, wyszło na jaw, że o samej kradzieży wiedział wystarczająco dużo, by właśnie jemu postawić zarzuty. Obrazowo opowiadał o rozczarowaniu, które stało się jego udziałem, gdy we wspomnianym dostawczaku, oprócz łatwego do opchnięcia markowego towaru, zastał coś jeszcze.

Pięć manekinów.

Nie, nie zwykłych człekokształtnych figur pozbawionych twarzy, a wysokiej klasy wiernych imitacji kobiet z drobiazgowo dopieszczonymi detalami, od pomalowanych paznokci do błękitnych tęczówek i czarnych nitek rzęs. Siedzących, stojących, z rękoma zastygłymi w artystycznych pozach i oczami wpatrzonymi w dal. Na tamtych przesłuchaniach stchórzył: skłamał, że podrzucał manekiny dla zgrywy, niszczył, żeby wyładować złość, że bawiła go sława „Lalkarza z Ostrychowa”, „Seryjnego dewastatora”. Udawał żal, że nie starczyło czasu na piąty performans. Gazety i plotkarskie portale uznały te zdarzenia ze

happeningi, rodzaj buntu, demonstrację niezgody prostego człowieka z małego miasta na konsumpcjonizm wielkich metropolii, choć doszukiwały się czegoś, czego w nich być nie mogło. Dewiant podchwycił ten mit. Śledczy uwierzyli, przecież wygodnie było uwierzyć. Chłopak bez oporów pokazał im zresztą miejsce ukrycia piątego manekina. Zachował za to dla siebie konteksty i prawdziwe oblicza każdej „zbrodni”.

Nabrał pewności siebie. Ochoty, by spróbować jeszcze raz: ostrzej, bardziej zdecydowanie.

Po tamtym pierwszym zatrzymaniu lekarz badający odurzonego dopalaczami aresztanta uznał, że szaleńczy rajd przez torowisko był w istocie próbą samobójczą i zlecił dodatkowe konsultacje psychiatryczne. Przywieźli więc chłopaka do lekarki, która akurat miała pecha dyżurować w szpitalu miejskim. Nie podzieliła obaw tamtego medyka. Zresztą dresiarz nawet nie usiłował udawać samobójcy.

...brak przeciwwskazań medycznych do przebywania ww. osoby w pomieszczeniu przeznaczonym dla osób zatrzymanych...

Pieczątka, podpis. Tego właśnie oczekiwali ostrychowscy funkcjonariusze i na tym cała historia miała się dla lekarki zakończyć. Może gdyby pokazali jej wtedy zdjęcia tych okaleczonych manekinów, zaczęłyby drażnić, zauważyłyby, że ich uszkodzenia to nie zwykła, radosna demolka. A może nie; zmęczona i zła, prawie jedną nogą w domu, nie przeciągała wizyty jakiegoś dresiarza. Szybko o tym zapomniała, nie sądziła, że jeszcze kiedyś go spotka.

Myliła się. Minęło trochę czasu: pewnie siedział albo ojciec sprął go za kwaśne jabłko, gdy przyszło do płacenia kar.

...porwałem kurwę z osiedla. Dlaczego przyjechaliśmy jej starym gratem na Czarny Folwark? Bo nie dotarłem tam z czwartą, rozumiecie? No i po nocy mało kogo tam nosi, bo niby że straszy. A chuj tam, nie duchy! Tylko wy robicie tu za upiory. Jakbym wiedział, że zrobicie tu zasadzkę, to bym pojechał gdzie indziej. Na cmentarz koło koksowni albo co.

Tam też czekałyśmy, wyznałam lodowatym tonem, *właściwie tej nocy czekałyśmy wszędzie*. Wytrzeszczył na mnie oczy, być może zaskoczony, że przerwałam milczenie.

Ponaglany przez śledcze z aglomeracji, już mniej butnym głosem podjął opowieść o tym, jak wyłonił się z ciemności ponurego osiedla, gdy wracając ze szpitala, zamykała samochód, i pozbawił ją przytomności, uderzając w tył głowy. Nieprzytomna, miała stać się kolejnym manekinem, z tym jednak, że wszystko miała na miejscu i nigdzie nie była za szeroka.

Piąta-pierwsza ofiara „Seryjnego dewastatora”. Na swoje szczęście niedoszła.

Przejęłyśmy inicjatywę, gdy tylko wtargał ją po wyszczerbionych schodach do holu.

Nie należał do osiłków, a żywa kobieta ważyła przecież więcej niż manekin. Wyczerpany, rzucił nieprzytomną na popękana posadzkę, by pociągnąć ją za sobą na kraniec smugi światła, którą rzucały reflektory samochodu. Tam przystanął, zaklął pod nosem i pochylił się nad ofiarą.

Wtedy wkroczyliśmy.

Złapany w krzyżowy ogień błędnych ogni wyglądał jak zwierzę osaczone przez myśliwych. Najpierw zdumienie i niedowierzanie, potem dopiero strach odmalowały się na jego tępej twarzy. Mimo iż odcięliśmy mu drogę, rzucił się do ucieczki, licząc na to, że z impetem pokona barykadę. Wpadł na pierwszą z zagradzających mu wyjście, przewrócił ją, ale za nią czekały już następne. To nic, że popchnięte, upadały jak kostki domino: płatanina naszych rąk i nóg, gęstwina dłoni uwięziła uciekiniera jak sieć. Barykada z ciał zdawała się nie mieć końca. Brnął w niej uparcie naprzód, choć coraz bardziej krępowała mu ruchy, wymierzała celne ciosy, wbijała palce w miękkie, wrażliwe miejsca, brzuch, pachwiny, powieki, uszy. Oślepiony, zawył dziko i miotając ramionami, zaczął kopać gwałtownie, lecz na oślep, i odpychać po omacku korpusy, karki, głowy, biodra.

Gdy już prawie oczyścił sobie drogę ku schodom i czyhał ku nim na czworakach, jak grom z jasnego nieba opadłam mu na plecy. Zamknęłam jego szyję w kleszczach zgiętego ramienia i zacisnęłam, aż zaczął charczeć. Usiłował gryźć, ale tylko połamał sobie zęby na moim przedramieniu.

Puściłam, gdy opadł z sił. Zwiotczał i ciężko dysząc zastygł na podłodze. Zawlekliśmy go do jednego z pokoiów w amfiladzie, akurat na czas, gdy porwana zaczęła się budzić. Zszokowana, długo dochodziła do siebie, majaczyła. Któraś z niższych stopniem odwiozła ją pod szpital. I tak nikt jej nie uwierzy, że auto prowadził manekin...

Zatrzymany głośno charkał i spluwał krwistą flegmą. Przez pozbawione szyb okna bez przeszkód wpadał wiatr. Krzesło, na którym siedział, ledwo trzymało pion. Pierwsze promienie wstającego słońca zastąpiły nam lampę, świecącą przesłuchiwanemu prosto w twarz. Pewnie ludził się, że wszystko po prostu jest wizją, sprowokowaną przez dopalacze. Na razie nie wyprowadzałyśmy go z błędu.

– No, a teraz po kolei – zaczęłam. – Od pierwszej do ostatniej. Jak na spowiedzi.

Roześmiał się chrapliwie, rozdziawiając zakrwawione wargi.

– Nosz kurwa, co za pojebany trip!

Jedna z miejskich glin zbliżyła się i niespodziewanie ugodziła go palcami w oko. Zabolalo, chłopak ryknął jak zranione zwierzę i zaczął się szarpać. Stracił równowagę i razem z wiekowym krzesłem wylądował na podłodze.

– To też trip? – spytała ironicznie, wbijając mu łokieć w brzuch.

Podniosłyśmy go, zanim skończył wyć. Łypał na mnie jednym okiem, patrzył z boku, pewnie czekając na kolejny cios. W zębach mełł garść prostackich obelg, przemieszanych z wulgaryzmami. Słońce powoli wznosiło się na nieboskłon i w końcu przestało go oślepić. Jego wzrok z oporami wydobywał z powidoków postaci funkcjonariuszek.

– No to gadaj – warknęłam. – Po kolei. Jak było z tą pierwszą?

Zatrzymany przebiegł chaotycznie wzrokiem od jednej śledczej do drugiej. Powoli docierało do niego, że to jednak nie trip. Potem rzucił mi wyzywające spojrzenie i zaczął opowiadać:

– Pierwszą zabrałem do rezerwatu. Mam taką miejscówkę nad Moczanką...



rys. Małgorzata Siłkowska

ŚMIERĆ CZŁOWIEKA LIŻĄCEGO PALCE

Antoni Nowakowski

„Cogito ergo sum” (Kartezjusz)

Z satysfakcją zauważyła, że młoda aktorka wzięła głęboki oddech.

Wyglądało na to, że odtwórczyni roli Julii świetnie opanowała warsztat. Dziewczyna знаła swoją robotę. Czekala ją długa scena dialogowa z ukochanym.

Gdyby tylko w wypowiedane słowa wkładala więcej uczucia, wyraziściej grała ciałem, popracowała nad gestami... Na pewno szybko trafiłaby na plan filmowy. Podczas prób

wielokrotnie rozmawiano o rolach w serialach i kinowych przebojach. To miało duże znaczenie i dla niej – poszerzała wiedzę o otaczającym świecie.

Rozsiadła się wygodniej i skupiła na słuchaniu.

Tekst brzmiał naprawdę niezłe, nasycony uczuciem miłości – i zawodu, że stojący pod balkonem młodzieniaszek nosi nazwisko w jej rodzie wymawiane ze wzgardą. Tak nienawistne, że krewni Julii z utęsknieniem czekali na chwilę, w której mogliby komuś z tego klanu wbić sztylet w brzuch i rozkoszować się jego męką.

W myślach wtórowała aktorce. Lubiła sztuki Szekspira. Nie wszystkie, bo uważała, że spłodził sporo tandety, pragnąc napełnić pusty trzos.

*„Romeo! czemuż ty jesteś Romeo!
Wyrzecz się swego rodu, rzuć tę nazwę!
Lub, jeśli tego nie możesz uczynić,
To przysiąż wiernym być mojej miłości,
A ja przestanę być z krwi Kapuletów.”ⁱ*

Głos docierał do najdalszych części wielkiej sali. Wibrował, dodatkowo zabarwiony wyraziście słyszalnym poczuciem rozczarowania, że ten, którego pokochała całą duszą, jest śmiertelnym wrogiem jej rodziny.

Rozległy się brawa. Niespecjalnie intensywne, jednak z aprobatą kwitujące sposób przekazania jednej z najważniejszych scen znanej tragedii. Niebawem ucichły, nie przemieniając się w owację.

Mogła z tej sceny wycisnąć dużo więcej – pomyślała z goryczą, bo już zdążyła polubić młodą odtwórczynię. – Cholera, mimo wszystko spatalaszyla sprawę! Jednak powinna popracować nad mową ciała. To takie proste, a ona tego nie rozumie! Czekala ją wielka rola, a gra zaledwie trochę lepiej niż dobrze.

Chciała wyrzucić z siebie serię ordynarnych bluzgów, ale się powstrzymała. Uważała, że wulgaryzmy uwłaczają jej godności. Poprzestała na mruknięciu pod nosem w tylko przez nią rozumianym języku:

– Co za kurestwo... Stracić taką szansę... Jedno wielkie badziewie, ot co.

Skupiła się teraz na oglądaniu widowni.

Szeleściły opakowania chipsów, niekiedy błyskał flesz smartfonu, co pewien czas oklaski wieńczyły dobrze zagraną scenę. Jeszcze niedawno odgłosy rozrywanych opakowań doprowadzały ją prawie do szału, jednak w końcu przyzwyczała się do tych szmerów,

przeszkadzających w przeżywaniu spektakli. Nie mogła pojąć, jak w świątyni Melpomeny można żuć najrozmaitsze ciastka i słone paluszki, mlaskając z ukontentowaniem, wtedy, gdy Hamlet rozpoczynał swoją słynną kwestię. Sądziła, że jest to znieważanie aktorskiej sztuki.

Kochała teatr, w którym stale przebywała. Od niego przecież wszystko się zaczęło... Stary budynek z wielką sceną spowodował, że poczęła się przeistaczać. Nie cierpiała lekceważenia go i zamieniania w salę kulinarną.

Ten nowy, dziwaczny obyczaj miał jednak całkiem dobre strony. Cichcem, jako ostatnia opuszczała swoje miejsce przeżywania przedstawienia, późno, tuż przed pojawieniem się sprzątaczek. Starła się nie rzucać w oczy. Tak było najbezpieczniej. Wybierała sobie wtedy najbardziej smakowite wiktuały. Niektóre foliówki były prawie pełne, co kwitowała z zadowoleniem. Stanowiły cenne uzupełnienie jednostajnej diety, wystarczając na wiele dni.

Teraz też planowała uczynić tak samo. Do końca miłosnego dramatu pozostawało jeszcze sporo czasu, powróciła więc do obserwacji widzów.

Reagowano zbieżnie z jej odczuciami – jest interesująco, ale widowisko nie wywoływało fascynacji teatromanów, wypełniających rzędy foteli. Na pewno myśleli podobnie jak ona: ciekawy spektakl, jednak niespecjalnie poruszający. Niebawem uleci z pamięci.

Westchnęła.

Dobrze już pojmowała, że kasowy przebój wymaga znakomitego pomysłu inscenizacyjnego, odnoszącego się do współczesności, wspartego porywającą grą aktorów.

Z goryczą skonstatowała, że chyba jako jedyna na tej wielkiej sali rozumie tę prostą prawdę.

Z zadowoleniem stwierdziła, że jutro przed południem, jak zwykle, rozpocznie się próba nowego spektaklu. Wróżyła mu wielki sukces. I penie wiele się zmieni w życiu pracowników tego starego budynku, gdy nagle poczują smak niebywałego sukcesu. Jej, zwykłej, szarej istoty, nadal nikt nie dostrzeże. Nie przejmowała się tym brakiem zainteresowania, bo znakomicie ułatwiało życie.

Zupełnie nowe istnienie, do którego już się przyzwyczaiła i coraz mocniej kochała czymś, co nieśmiało określała jako duszę.

Przeniosła teraz uwagę na bardzo przez nią lubianą osobę – suflera. Pracował, dobrze ustawionym, wyraźnie słyszalnym szeptem przypominając aktorom tekst.

Jego twarz wykrzywiał nigdy do tej pory niewidziany grymas. Bólu, może nawet męki.

Obserwowała go od lat, sama nie wiedziała, jak długo. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze nie rozumie miar czasu, ale tym się nie przejmowała. Istniało bardzo wiele spraw, absorbujących jej uwagę, znacznie przecież ciekawszych od liczenia tygodni i miesięcy. Pamiętała, jak się zdziwiła, gdy smoliście czarna czupryna tego podpowiadacza poczęła dziwnie blaknąć. Pojęła, że po prostu siwieje. Czoło i policzki powoli pokrywały zmarszczki. Zastanawiała się na tych zjawiskami i wtedy zrozumiała znaczenie niekiedy wypowiedzanego przez aktorów zwrotu – „chłop nam się starzeje...”.

Tylko ten wspaniały baryton pozostawał bez zmian. Uwielbiała go słuchać.

O sobie sądziła, że jest niezmienna, niezależna od upływu okresów, nazywanych latami. Niczego złego w swoim ciele nie dostrzegała. Była tylko bardziej ociążała niż kiedyś, ale uważała, że stała się sybarytką. Przynoszone przez widzów smakowite produkty robiły swoje. Nie wpływały na nadal wyborny słuch i wzrok. Te narządy niezmiennie pozostawały doskonałe. Inne ośrodki czuciowe też.

Z rozkoszą je wykorzystywała, przyglądając się kolejnym przedstawieniom.

Ponownie skupiła spojrzenie na człowieku siedzącym w budce, skrytej przez oczyma widzów.

Po raz pierwszy widziała taki wyraz twarzy suflera, chyba jednak oznakę cierpienia. To nie mogło być znudzenie widowiskiem, nieźle przecież przygotowanym, w sumie dość interesującym.

W ciągu wielu lat wyrobiła w sobie umiejętność wychwytywania najistotniejszych elementów spektaklu, decydujących o jego sukcesie. Ten mężczyzna reagował identycznie. To ją cieszyło, bo widziała, że pasjonuje się swoją pracą, zawsze uważny, czujny, świetnie wykonywał wcale niełatwe obowiązki.

Przez długą chwilę zastanawiała się nad czymś, co od jakiegoś czasu bardzo ją męczyło i często nie pozwalało skupić się na oglądaniu przedstawienia, studiowaniu reakcji widzów, krytyków i dziennikarzy.

Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób posiadała swoje dziwne umiejętności. Sądziła, że po prostu słowa, wypowiedane co wieczór, wypełniające scenę, gęsto nasycając powietrze

zmieniły jej umysł, przetworzyły jestestwo. Przeobraziły w kogoś zupełnie innego. Fale dźwiękowe stale zalewały jej uszy. Początkowo odbierała je jako irytujący szum. Chyba właśnie one, wsparte gestykulacją aktorów, oddziaływały na cząstki, z których się składała, przemieniały mózg, przynosząc zaskakujący efekt rozumienia wszystkiego, co się działo. Powiązała zachowanie odtwórców ze stale zalewającym jej uszy szumem i nagle dostrzegła, że rozumie poszczególne wyrazy. A potem całe zdania.

Ten proces lawinowo narastał. Szybko nauczyła się formułować myśli. Równie prędko, nieomal równoległe, poczęła tworzyć swój własny język.

Nagle zdała sobie sprawę, że istnieje jako samodzielny byt. Uważała, że formułowanie myśli spowodowało świadomość odrębnego istnienia.

Była bardzo dumna z tego odkrycia.

Nie pamiętała tylko, kiedy wszystko się zaczęło, ale jednak się wydarzyło. Niepostrzeżenie dla siebie samej stała się zupełnie inną istotą.

Powróciła do obserwacji suflera.

Głowa spoczywała na pulpicie, pięść zaciskała na kartach tekstu. Już nie podpowiadał, tylko charczał. Z kącika ust spływał strumyczek krwi.

Chyba konał. Dobrze znała śmierć, często ją oglądała i równie często zadawała. Teraz kolejny mord nie sprawiał już satysfakcji, ale był koniecznością, więc bez wyrzutów sumienia pozbawiała życia swoje ofiary.

Rozumiała, że stało się coś bardzo złego. Pragnęła pomóc, coś uczynić, żeby przerwano spektakl, żeby ktoś zajął się jej ulubieńcem.

Ten człowiek umierał!

Nie zastanawiała się długo.

Zerwała się i wpadła na scenę. Sadyła długimi susami, wrzeszcząc przeraźliwie. Mignęła myśl, że aktorzy i widzowie odbiorę te fale dźwiękowe zupełnie inaczej, ale chodziło przecież o to, żeby ktoś dostrzegł konanie suflera i przyszedł mu na ratunek. Reszta się nie liczyła.

Przysiadła obok pulpitu z kartami tekstu, nadal przeraźliwie krzycząc.

Aktor grający Romea miał u pasa rapier. Oceniała, że jest to reżyserska fanaberia, zbyt nie przywiązanie do realiów czasów, w których toczyła się akcja tragedii. Inni wykonawcy sztylety albo puginały, prawdziwy oręż wypożyczony z muzeum.

Cudem uniknęła cięcia. Było mocne, klinga przerabiała na pół arkusze suflerskiego scenopisu.

Wiedziała, że musi uciekać. Zrobiła, co należało, teraz przyszła pora ratowania swojego istnienia.

Kątem oka dostrzegła, że ręka z zaciśniętą pięścią bezwładnie opadła. Krew jednak nadal sączyła się z kącika ust, więc jeszcze żył.

Zmierzając pędem do swojej stałej kryjówki usłyszała jeszcze krzyk Julii:

– Skąd wziął się tutaj ten wściekły szczur?! Nie będę grała w teatrze pełnym ohydnych gryzoni! I czemu tak okropnie pisał?! Wybijcie te ścierwa!

Po suflerze pozostały tylko dwie żółknące klepsydry. Jedna wisiała w hallu, druga w bufecie.

Szczurzyca Eva sądziła, że szybko wylądują w koszu.

Jak zwykle rozsiadła się wygodnie. Bacznie obserwowała przebieg próby nowej sztuki, „Gargantui i Pantagruela” według Rabelais’go, pogryzając ze smakiem ciasteczko sezamkowe. Posiadała ich sporo, zebrała ponad tuzin do połowy opróżnionych pakietów.

W ten sposób świętowała otrzymanie imienia. Sama je sobie nadała, a wybrała, studiując stary program sztuki „Wygnanie z Raju”. Podobało się jej i miało ważne znaczenie.

Ciężkie czasy zacieklego polowania na gryzonia w końcu minęły. Wszędzie kładziono zatrute pożywienie i pułapki, ale ona od dawna nauczyła się je omijać. Nowością był gaz. Ledwie uniknęła śmierci. Miała szczęście, że dostrzegła ludzi w kombinezonach i maskach, z butlami na plecach. Domyśliła się, co będą robić.

Kryjówka Evy znajdowała się pod jodłowymi deskami grubej podłogi jednej z garderób. Pocięła zębami na szmaty nieużywany kostium i uszczelniła swój matecznik. Pracowała pilnie, nosząc strzępy tkaniny w ryjku, a potem starannie zatykając wszelkie szpary.

Przydały się obfite zapasy pożywienia.

Czas przymusowego odosobnienia spędziła w ciemnościach, oddając się rozmyślaniom. Powzięła wtedy ważne dla niej postanowienie i mogła je dogłębnie przeanalizować.

Teraz, gdy posiadała jeszcze umiejętność czytania, powinna stać się pramatką nowego gatunku szczurów. Potrzebowała tylko rozplodnika, ale znalezienie właściwego samca nie nastęczało trudności. Znała kilku odpowiednich. Jeżeli zginęli w tej śmiertelnej koźbie, urządzonej przez ludzi, poszuka nowych.

Uważała takie postępowanie za konieczne. Ciągłe się rozwijała, zarówno umysłowo, jak i fizycznie – osiągnęła już wielkość dobrze wyrośniętego kocura. I nadal rosła.

Potomstwo będzie bytowało w teatrze, a ona przekaze im swoją wiedzę i doświadczenie. Ten zalew słów, wypowiedanych na scenie, przeistoczył ją, a małe szczurki rozwiną się jeszcze bardziej.

Staną się zaczynem nieistniejącej jeszcze rasy szczurów rozumnych.

W końcu powróciła do ulubionego zajęcia. Uprzątnięto zwłoki jej pobratymców, przewietrzono pomieszczenia.

Mogła znowu rozkoszować się grą aktorów i z przejęciem śledzić przebieg prób.

Mogła w myślach dopracowywać szczegóły wielkiego projektu.

Odruchowo rzuciła okiem na nowego suflera. Nie cierpiała go, a nawet zaczynała nienawidzić, bo wyrażał się pogardliwie o zmarłym.

– Z takim głosem i dobrą aparycją zrobiłby karierę jako spiker telewizyjny albo radiowy, a on trwonił tutaj czas za marne pieniądze – rzucił kiedyś do jednej z statystek, którą próbował uwodzić. – Umarł, niech mu ziemia lekka będzie, ale stracić taką szansę! Kompletny baran – zakończył pogardliwie.

W Evie od początku budził niechęć. Drażniło ją nawet to, że przewracając karki tekstu, ślinał palec.

Niechęć przemieniała się w odrazę, a ta w nienawiść, chociaż szczurzyca dobrze wiedziała, że nowy podpowiadacz nie jest niczemu winien.

Postanowiła, że już nie będzie na niego zwracać uwagi. Nie był tego wart.

Zainteresowała się przebiegiem próby.

Przetworzony przez reżysera tekst powieści, z licznymi dopiskami, brzmiał znakomicie i był grany porywająco. Często budził zaciekawienie i śmiech, równie często zmuszał do zastanowienia.

Akcja, przeniesiona do współczesności, toczyła się w dziwnym kraju, o którym Gargantua powiadał, że znajduje się wszędzie i nigdzie.

To był najlepszy i najciekawszy spektakl, który do tej pory oglądała.

Wsluchiwała się w jedną z ulubionych fraz. Akurat ją wypowiedziano.

*Ktoś jest zacz, coś wszedł w sracz złożyć swe wielmożne łajno – słuchaj no. Niech tego trafi szlag, niech tego zdusi powietrze, kto swego zadka czysto do gładka w czas nie podetrze.*ⁱⁱ

Zdania przerywały soczyste bekania.

Nagle łapka Ewy z herbatnikiem zamarła w bezruchu. Gdzieś z głębin stale rozwijającego się umysłu wypłynęła oczywista i prosta konstatacja.

Pragnęła zostać rodzicielką nowego pokolenia szczurów, przekazać im swoją wiedzę, może telepatycznie – znała już znaczenie tego wyrazu – a tylko teoretycznie wiedziała, jak walczyć z ludźmi. Jak ich tępić, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Gdy gorączkowo rozkładano trutki i pułapki, posłyszwała, że ona i jej pobratymcy dysponują taką bronią. Roznoszą szczurzą gorączkę i wirusy choroby, zwanej tyfusem plamistym. Bardzo się jej lękano.

Powinna sprawdzić ich skuteczność...

Wybór celu nasuwał się sam. Musiała zabić nowego suflera. Lizał palce przy śledzeniu tekstu, więc idealnie nadawał się na ofiarę.

Z zadowoleniem połknęła kolejny kęs ciasteczka.

Po twarzy młokosa z irokezem na głowie spływał pot. Już nie musiał ślinić kciuka, żeby przewrócić kartkę. Wystarczyło, że często obcierał policzki. Krasily je dziwne wypieki, jakby chłopak silnie gorączkował.

Pracował wytrwale, mimo tego, że wyglądało, iż ledwie trzyma się na nogach. Nie mówił, tylko chrypiał.

Eva z zadowoleniem wyszczerzyła zębiska. Była już brzemienna. Czowała poruszanie kilku drobnuteńkich ciał. Może wyciągały łapki, a może przytulały się do siebie.

Dobrze wiedziała, że szybko dowie się o niespodziewanej śmierci niedawno przyjętego pracownika. Znowu zawisną dwie klepsydry, jedna w hallu, druga w bufecie, a te dwunogie stwory, ludzie, pewnie wypiszą na nich patetyczne banały.

Przeżyją potem ciężkie chwile, ona i jej potomstwo, protoplaści nowego gatunku istot rozumnych. Pewnie schronią się w rurach kanalizacyjnych. Będzie dysponować czasem, żeby opowiedzieć o nowym doświadczeniu. O tym, że może za wieleset lat ich potomkowie opanują świat.

Powie im, że zabicie człowieka ma słodki, sezamkowy smak i jest równie łatwe, jak uśmiercenie myszy.

– Niech szczeną jak najszybciej – mruknęła. – Ostatni może zrozumieją, że cała reszta jest tylko wiecznym milczeniem.

Wąski pysk okraśliło coś, co wyglądało na uśmiech.

12 maja 2018 r.

ⁱ Tekst tragedii Szekspira w tłumaczeniu Leona Ulricha.

ⁱⁱ Tłumaczył Tadeusz Boy-Żeleński.



WYJŚCIE

Michał Pleskacz

Nonnulla animalia capita horrenda habent, sed hominibus non nocent

Ablavius

Jeśli ktoś miałby mnie raz jeszcze przekonać do późnego wyjścia na jedno tylko nawet piwo w mroźną, księżycową noc – musiałby się naprawdę mocno postarać. Sądzę jednak, że nikomu już się to nie uda.

Nigdy bowiem nie pozwolę na to, abym – tak jak wtedy – spożywał ten trunek, stojąc przy krzewach i gołych i przeraźliwie powykręcanych drzewach, w towarzystwie straszliwego i diabolicznie śpiewającego wiatru.

Pamiętam ten pejzaż... Blask księżyca, wtedy dziwnie wyolbrzymionego i zniekształconego w swej kulistej formie, uwypuklał ziemistą, nieładną drogę nad Wisłę. Wiedzie ona przez szerokie pola kukurydzy i szeregi dziko rosnących roślin i tajemniczych krzewów. Na zakręcie mija także wyschnięte zupełnie bagienko. Tak ciągnie się przez parę kilometrów, ażeby dotrzeć do wału przeciwpowodziowego. Można się na niego szybko wdrapać, zbiec w dół i minąwszy okazałe krzaki – ujrzeć wreszcie dziką Wisłę.

Nie mieliśmy jednak zamiaru zapuszczać się tak daleko. Nie wtedy – szóstego grudnia, gdy mój znajomy namówił mnie, abym wyszedł z nim na piwo. Mimo straszliwej pogody nie potrafiłem mu odmówić.

Jak niesamowicie mną trząsnęło, gdym wyszedł wtedy z bloku! Dopadłem barierki i musiałem chwilę odetchnąć, by przyzwycząić ciało do ostrych podmuchów i pogodowych zawirowań. Wiedziałem, że nie można walczyć z wichurą, lecz odwrotnie: trzeba ruszyć z jej nurtem, zagłębić się w jej zgęszczenia i osobliwą formę – lub zawrócić, po raz kolejny będąc upokorzonym przez potęgę natury. Czułem się wtedy tak maluchny i prosty, tak kruchy i łatwy do zgładzenia przez wszechpotężne i wieczne żywioły. Spoglądałem na gwiazdy, ślicznie uwidocznione i odsłonięte. Mróz szczypał mnie w twarz, chociaż miałem futrzaną czapkę i kaptur. Założyłem rękawiczki i pognałem na spotkanie.

Spotkaliśmy się pod sklepikiem i szybko zaopatrzyliśmy w dwie butelczyny.

– Tam, gdzie ostatnio? – zapytałem, podświadomie skręcając między bloki. Mój kompan tylko kiwnął głową, nie odzywając się zupełnie słowem. Wzrok też miał jakiś dziwny, inny – trochę pomyłony, trochę roziskrzony, z pewnością czymś zaaferowany. Nie miałem pojęcia, jak to odczytać.

Po kilku minutach wkroczyliśmy w kompleks kolejnych bloków. Przeszliśmy obok jednego jeszcze sklepu – ten już był zamknięty, zresztą godzina i dzień nie sprzyjały. Minęliśmy opustoszały niemal parking i na jego krańcu, przy krawężniku i krzakach, gdzie zaczynała się ścieżka nad Wisłę, przystanęliśmy, z cichym brzękiem stawiając butelki.

– Za twe imię, kompanie! – powiedziałem ochoczo, dierząc butelkę i ładnie zdobiony otwieracz ze Szwajcarii. Już po chwili sączyliśmy złocisty trunek.

Atmosfera spotkania od samego początku była specyficzna – wiatr rósł w siłę z każdą minutą, a księżyc jakby zbliżał się do nas, niemalże wisiał nad czubkiem naszych głów, wchodził już prawie między pobliskie drzewa, straszliwie się kołyszące. Przez chwilę w mym umyśle zrodziła się osobliwa myśl – że oto jestem świadkiem jakiegoś rytuału, prastarego i bezsłownego, zupełnie asemantycznego, gdyż stwarzanego przez roślinność i żywioły. Oto krzewy i gałęzie tańczyły w świetle posępnego satelity ku czci jakichś niewypowiedzianych

form. Wiatr komponował chórki, mistyczne i demoniczne, ażeby wreszcie rozwrzeszczyć się całkowicie i wybić na sam przód, chcąc wieść prym w tym magicznym przedstawieniu, w tej pierwotnej i archetypicznej ceremonii Natury. Zadumałem się, patrząc na otaczającą nas przyrodę, niepokrytą jeszcze śniegiem, ale posępną i wychudzoną, postarzałą przez jesienną aurę, która powoli ustępowała dzikim mrozom i mocy nieuchronnie zbliżającej się zimy.

Sączyliśmy powoli piwo, przyzwyczajając się do mroźnego wiatru. Krążyliśmy, popijając gazowaną ciecz i rozprawiając coraz intensywniej i wreszcie ciekawiej. Mój kamrat mówił cicho i w skupieniu, a ja widziałem, jak wpatruje się z uwagą w krzaki i szeroką drogę. To w tamtym miejscu zresztą najczęściej się zatrzymywał, zataczając przede mną mozolne półkręgi. Począłem się zastanawiać: co go tak nurtuje po tamtej właśnie stronie?

Zaczął mi opowiadać o starych, nordyckich zwyczajach. Rysował przede mną pejzaże mroźnych i nieprzyjaznych pagórków, głębokich fiordów i niedostępnych dla słabeuszy wulkanów i lodowców.

– Jeszcze dziś można spotkać w skandynawskich wioskach poczciwe kobieciny, które potrafią śpiewać w osobliwy sposób. Słowa tych pieśni zapisane są średniowiecznym językiem, prawdopodobnie analogicznym do tego, jaki został użyty do spisania *Eddy poetyckiej*. To piękna pieśń, sławiąca ciężką pracę i życie na roli w towarzystwie urokliwych zwierząt. – Przerwał na moment, otwierając kolejne piwo. Co mnie zadziwiło: pustą butelkę odłożył starannie na ziemi, nie wyrzucając jej wysoko w krzaki, jak miał w zwyczaju. Wznieśliśmy toast i poprosiłem, żeby kontynuował, bo naprawdę mnie zaciekawił. Księżyc świecił potężnie i triumfalnie. – Wszystko byłoby zupełnie zwyczajne w tej pieśni, gdyby nie jej wyjątkowy aspekt muzyczny i rytmiczny – skonstruowana jest ona bowiem podług starych zasad i wsparta runicznymi elementami. Przez to zyskuje magiczne cechy i dlatego było tak bardzo ją sobie upodobało – bo ta pieśń przemawia do genetycznego rodowodu zwierząt. W ich krwi i genach płynie pamięć o dawnych przyzwyczajeniach i zasłyszanych pieśniach. Ale zwierzęta nie zdają sobie oczywiście z tego sprawy, to jakby część ich instynktu, jakiejś podświadomej woli, podskórnego, ślepego pędu. Słyszą coś i mimowolnie reagują; to archetypiczne obrazy, kształtowane przez pokolenia. U ludzi zresztą: tak samo. Nasze zachowanie, charakter – cały bogaty wachlarz naszej złożonej osobowości kształtowany jest przez naszych przodków. W niemożliwy do wytłumaczenia sposób dziedziczymy konkretne i typowe dla pradziadów cechy, zyskujemy wiedzę i pamięć o dawnych zwyczajach, starych i – wydawałoby się – zapomnianych pieśniach i pracy. Przechowujemy pokłady tej niebywalej energii i mądrości gdzieś głęboko w nadjaźni, pośród mózgowych szczelin i wszystkich genetycznych kanałów...

– Bardzo ciekawa teza! Ale w jaki sposób bydlę mogło upodobać sobie pieśń? Przecież krowki nie potrafią czytać.

– Tak, masz rację. Taka wieśniaczka zwyczajnie wychodzi przed chatę i chcąc zwabić do siebie zwierzęta, staje w odpowiedniej pozycji na szerokim polu. Wreszcie wznosi swe ręce ku górze – i poczyna pięknie śpiewać. To naprawdę odległy czasowo język, te krowy nigdy nie mogły słyszeć ani jednego niemożliwie starego leksemu.. Ale jednak reagują, jednak momentalnie stawiają uszy, charakterystycznie wypuszczają powietrze i ruszają, pędzą niemalże przez pola, mucząc i owo muczenie dostosowując do rytmu starej pieśni wieśniaczki. Podobno mleko jest wtedy zaskakująco lepsze – pisał o tym nawet Kolberg, gdy spotkał dosyć intrygującą parę wieśniaków, przebywając na terenie Kujaw. Ale w Polsce to bardzo rzadkie zjawisko, u nas niemalże nie istnieją takie pieśni, język polski nie jest nawet dostosowany do heksametru, specyficznego wolnego wiersza czy charakterystycznych stóp rytmicznych. Nawet nasze gardła nie potrafią wydobywać niektórych dźwięków. Spece od fonetyki i fonologii głowią się, jakim cudem ktoś wydaje takie odgłosy, intonując słowa starych pieśni. A jednak to się dzieje naprawdę, jednak krowy rozumieją, jednocześnie nie rozumiejąc. Gnają rozweselone do pięknej i pulchnej wieśniaczki, wystawiają kopyta i wymiona, przepychają się swymi obfitymi cielskami, a później dają smaczne mleko i rodzą śliczne cielaczki.

I zadumałem się raz jeszcze, wysłuchując tych fantazyjnych opowieści. Oczami wyobraźni przemierzałem mroźne i nieprzyjazne tereny, widziałem grupy wieśniaków, które tłoczą się przy prostym gospodarstwie i podziwiają wieśniaczkę. Ona – prawie jak Freja; jak dawna bogini czy jakaś archetypiczna Wielka Matka, przemawia do pralogenicznych i najpierwszych obrazów, do genetycznych zapisów, które kształtują się już w fazie płodowej.

– Tajemne pieśni mogą być wykonywane również zupełnie bezsłownie – nawet i tym sposobem można przywołać konkretne stworzenia... – Dopił piwo i nie odkładając butelki, podniósł tę pierwszą. Teraz stanął do mnie tyłem, wpatrując się w gęstwinę krzaków, a ja widziałem, jak ścieżka błyszczy w księżycowej poświacie. Trzymał obie butelki, wystawiając je na wiatr. Ten zaś śpiewał charakterystycznie, wionąc naprawdę potężnie.

– Pieśń bez słów? Sama melodia? Nucenie? – zagadnałem, patrząc na szerokie plecy mego kompana. Ten stał, rozpościerając ramiona. Przez moment wyglądał jak Jezus na krzyżu. Trzymał mocno szyjki szklanych narzędzi. Wiatr rozszalał się na dobre.

– Tak, tak też! Ale: jeszcze inaczej! Spójrz, przypatrz się dokładnie! Tylko cicho! Nie zagłuszaj mnie teraz i nie rób tego samego – to jedynie na pozór łatwa czynność. Ale może się uda, czytałem o tym, czytałem, może i tak, powinno, hi-hi... – Zaczął gadać co najmniej

jak szaleniec, jak człowiek spętany somnambuliczną mocą. Nie rozumiałem do końca, o co mu chodziło, gdy wymienił nazwę włoskiej wyspy Murano, a dalej gadał o zwyczajnym szkle i wreszcie najprostszycy nawet butelkach. Złączył wreszcie te swoje i przystawił je ściśle do ust.

Widziałem go teraz z profilu. Zamknął oczy i począł dmuchać w butelki. Efekt był oczywisty: charakterystyczny świst, wynikający z dmuchania na wietrze. Roześmiałem się, ale cicho, żeby mu nie przeszkadzać. Patrzyłem na to, nie rozumiejąc o co mu chodzi – a wyglądał śmiertelnie poważnie.

Gdy przyjrzałem się uważniej, zauważyłem, że te usta rzeczywiście układa dziwnie, sam więc spróbowałem, ale wargi moje momentalnie odmówiły posłuszeństwa.

I wtedy... Wtedy, po minucie albo dwóch, nie wiem, spojrzałem tam, gdzie spoczął jego twardy i ogromnie zafascynowany czymś wzrok. Otworzył on bowiem szeroko oczy i przez chwilę myślałem, że wylecą mu te gałki prosto na ziemię. Gapił się jak otępiały na krzaki, na ścieżkę prowadzącą do dzikiej i mroźnej rzeki – i świstał, i dmuchał na wietrze, kołysząc się dziwnie, oświetlony przez ogromniasty księżyc, przez tego straszliwie tajemniczego satelitę, który bez wątplenia wpływał na mego znajomego.

Gdy przypominam sobie, co wtedy się wydarzyło, wręcz odechciewa mi się pić. Dziwię się sobie, że w ogóle mogę już jakoś spać przy zgaszonym świetle. Pierwsze miesiące były najgorsze, ale teraz, gdy wreszcie zerwałem z nim kontakty, jakoś się trzymam. Wypiłem wtedy tylko dwa piwa i przysięgam: byłem jak trzeźwy! Ale wydarłem się po chwili przeraźliwie głośno i zbiłem swoje butelki, trącając je opętańczo w ucieczce. To chyba właśnie wtedy zgubiłem swój elegancki, szwajcarski otwieracz. Ale nikt nie zmusiłby mnie, abym wrócił tam wtedy po niego i szukał, obłany posępną, księżycową barwą.

Krzaki zaczęły trząść się szalenie i energicznie, hałasując niebywale i wtórując wysokiemu i niemalże krzykliwemu i bolesnemu świstowi. Zaraz po tym usłyszałem jakiś okropny trzepot – zabrzmiało to jak obślizgły ruch ogromnej, wilgotnej glisty; jak uderzenie kamienia o błotnistą ścieżkę; jak chlupot szczura w plugawym miejscu, godnym śmierdzących i straszliwych paryskich katakumb.

I wtedy przybyły one: zwabione niczym tamte skandynawskie krowy, specyficznym i starym, magicznym tonem. Butelki świstały tajemniczo i skrzekliwie, a ja stałem i tylko patrzyłem: patrzyłem i nie mogłem przez moment ruszyć żadną kończyną. Dreszcze straszliwe wstrząsnęły moim i tak już zgrabiałym i zmarzniętym ciałem. To nie dzieje się naprawdę...

Wyleciały zza krzaków, wrzeszcząc okropnie i łopocząc swymi błoniastymi skrzydłami. Była to cała horda najbardziej przebrzydłych kreatur, jakie dane mi było kiedykolwiek ujrzeć. Obijały się o siebie i w szaleńczym locie lgnęły do mojego towarzysza. A ten: z uśmiechem, szerokim i wspaniałym, wciąż dął w butelki, niczym skandynawska wieśniaczka w trąbę na obrazie Kittelsena.

– Znają ten dźwięk – to pieśń wiatru, księżycowa pieśń wiatru! Jakie one piękne! Jakież urodziwe i niezwykle, jeszcze bardziej niż w opisach, jakie dane było mi przeczytać!

Wołał opętańczo ten kapłan butelczyn, świszcząc przeraźliwie. Wydawało się, że tej błyszczącej, śluzowatej hordzie nie będzie końca. Przybywały znad Wisły, pędziły straszliwie, krzycząc i łypiąc swoimi żółtymi, niemożliwie rozświetlonymi oczyskami. Podgryzały się nawzajem, rozszalałe z radości i starożytnego zewu, który płynął w ich krwi. Stara pieśń obudziła w nich utajone wspomnienia przodków, tak jak wieśniaczka wydobyła z bydła wiedzę o dawnej, skandynawskiej poezji.

Uciekłem, pognałem do domu, wrzeszcząc okropnie i machając rękoma nad głową. Wydaje mi się, że przez moment dotknąłem palcami jedno z tych stworzeń – później dopiero odnalazłem na rękawiczce jakąś śmierzdzącą, niemożliwą do sprania plamę.

Nie piję już piwa w butelkach, nie wychodzę w grudniową noc, żeby skosztować tego złocistego trunku ze znajomymi. Uwielbiam wiosenne słońce, ale nade wszystko unikam, panicznie i jak ognia, okropnej pełni księżyca. Nie chodzę też nad odwiedzaną kiedyś często Wisłę. Chociaż rzeka, jak i okoliczne lasy, wysepki czy krzewy, to naprawdę piękne elementy przyrody – wolę nie myśleć nad tym, jakie formy w sobie kryją.

A wystarczy przywołać je odpowiednim dźwiękiem...



ZOMBEE

Mateusz Antczak

Instytut Entomologii usytuowany był w pobliżu stadionu piłkarskiego, w niewielkim parku na obrzeżach miasta. Wsadzane granitową kostką alejki świeciły pustkami – w cieniu niewielkich robinii mogli wypoczywać tylko zatrudnieni w placówce naukowcy, a ci zazwyczaj nie mieli na to czasu.

Marcin, student czwartego roku biologii środowiskowej, kręcił się po sterylnych pomieszczeniach Instytutu w ramach obowiązkowego stażu. Miał na sobie przepisowy biały kitel, w pogotowiu trzymał też rękawice i okulary ochronne, ale nie wiedział, co właściwie ma robić. Jeśli miał zdać zoologię stosowaną, musiał odbębnić tu całe sześć tygodni.

Przydzielono go do programu ochrony owadów zapylających. Te pożyteczne stworzenia coraz częściej atakowane były przez różnego rodzaju pasożyty. Aktualnie Instytut prowadził

badania nad *Apocephalus borealis*, niewielkimi owadami z rodziny zadrowatych, atakującymi pszczoły w Ameryce Północnej. W naturze szkodniki te przypominały muszki owocówki, ale w trakcie kilku lat badań w warunkach podwyższonego poziomu tlenu, dzięki szybkiej przemianie pokoleń zaadaptowały się do zmienionego składu atmosfery i osiągnęły rozmiary szerszeni. Pszczoły, które musieli w tym celu poświęcić, nie miały łatwo.

– Samice składają jaja w odwłoku żywiciela – tłumaczył opiekun Marcina, Damian. – Larwy wykluwają się w ciele pszczoły i przejmują kontrolę nad jego układem nerwowym. Taki zombie-owad lata później w kółko i opuszcza ul w nocy lub czasie ulewy. Żyje, ale ma szcążkową władzę nad swoim ciałem, tym bardziej, że jest sukcesywnie pożerany od środka.

– Obrzydlistwo – podsumował Marcin, zakładając, że to koniec makabrycznych opowieści.

– To nie wszystko – Damian zgasił jego nadzieję. – Kiedy larwa jest gotowa, wydostaje się z ciała żywiciela, rozrywając je między głową a *thoraxem*. Przyroda jest piękna, prawda?

Student uznał to pytanie za retoryczne. Pokręcił głową, widząc niezrozumiały, szeroki uśmiech opiekuna.

– A jednak ludzie z nią walczą. W stanach powstał obywatelski projekt ochrony pszczół nazwany „Zombie Watch”. A u nas, sam wiesz, staramy się znaleźć sposób, żeby zadrowate znalazły sobie inny obiekt westchnień. .

Kiedy znaleźli się w socjalu – pomieszczeniu pracowniczym stanowiącym stołówkę, miejsce wypoczynku i podręczną biblioteczkę w jednym – Marcin spytał, czego od niego oczekują.

– Szczerze? Że nic nie schranisz, zanim dostaniesz pieczętkę. Nie licz na to, że dopuścimy cię do ważnych eksperymentów. Nie chodzi nawet o naszą złą wolę czy arogancję. Na wszystkie zadania badawcze przydzielone są granty, a do grantów określone zespoły. Nie możemy dopisać do nich nowego laboranta.

– Nie przeszkadza mi to – odparł równie otwarcie praktykant. – Masz dla mnie jakieś mało znaczące zadanie?

Damian wręczył podopiecznemu plastikową tacę i nachylił się do jednej z metalowych szuflad-lodówek, umieszczonych nie tylko w socjalu, lecz także we wszystkich korytarzach siedmiu budynków kompleksu. Marcin nie miał pojęcia, jak personel orientuje się, gdzie co trzymają, skoro żadna z setek identycznych skrytek nie miała na sobie etykiety.

– Masz tu odczynniki potrzebne do badań nad komarami i wirusem zika – wyjaśnił, stawiając na tacy próbówki w zielonym plastikowym statywie. – A te są do badań nad twoimi ulubionymi pasożytami pszczoł – dodał, wykładając próbówki w stojaku z czerwoną obwolutą. – Zanieś zespołom, które się tym zajmują.

Marcin zdziwił się, że Damian nie zrobi tego sam, w końcu był szefem projektu ochrony owadów zapylających, tymczasem naukowiec usiadł na skórzanej kanapie i z kieszeni ochronnego fartucha wyciągnął game boya. Zanim wczytał ostatni zapis gry, spojrzął przelotnie na chłopaka.

– Na co czekasz? Ja mam przerwę, ty – nie.

Zanim Marcin wyszedł wykonać zadanie, do pokoju zajrzała Jagoda. To nie było jej prawdziwe imię – które najwidoczniej było zastrzeżone tylko dla pracowników – ale przezwisko, które zawdzięczała długim, fioletowym włosom. Jagoda miała specyficzne poczucie humoru i sporo przeklinała, choć zawsze w obcych językach. Nikt nie wiedział dlaczego.

– Co tak sterczysz jak *cazzo* w kisielu? Ten *connard*, Damian, nastraszył cię muszycą? Spokojnie, od dawna nie mieliśmy takiego przypadku. Ile to będzie? Już ze trzy miesiące?

– Taak. To ja idę. – Praktykanci nigdy nie wiedzieli jak odpowiadać na zaczepki Jagody.

Za pierwszym zakrętem wpadł na Wiołę, szefową placówki. Nie upuścił tacy, ale część probówek pospadała ze stojaków.

– Ostrożnie, młody! – skarciła go dyrektor.

Przestraszony, wymamrotał przeprosiny i czym prędzej, nie zastanawiając się nad tym, co robi, wpakował fiołki do kolorowych statywów i ruszył w głąb korytarzy.

W laboratorium wirusowym pracował Bartolomeo. Przyjechał do polski z Bolonii w ramach międzynarodowej wymiany kadry naukowej. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na naukowca, raczej na zapaśnika lub strongmana. Nauka polskiego szła mu opornie.

– *Buongiorno, Martino!* Masz coś *per me*? – Laborant przywitał studenta z typową włoską jowialnością. – *Gracie* – dorzucił, kiedy Marcin zostawił przed nim zielony statyw pełen plastikowych fiolek.

– Ponoć będziesz wiedział, co z tym zrobić – powiedział chłopak, bo Damian nie wyjaśnił mu nawet, co właściwie znajduje się w probówkach.

– *Si, si.* – potwierdził Włoch i wrócił do pracy.

W skrzydle badań nad błonkoskrzydłymi również go oczekiwano.

Basia poprawiła okulary ochronne zsuwające się z jej kości nosowej i odebrała przesyłkę. Nie sprawdzając zawartości, wzięła się do pracy. Równocześnie operowała pipetą, kilkoma kolbami i kilkunastoma szalkami Petriego oraz nadzorowała pracę wirówek.

– Wiesz już, czym się tu zajmujemy? – spytała. Słyszała nie tylko z pracowitości, lecz także akademickiego zacięcia.

Marcin nieśmiało przytaknął, ale Basia już rozpoczynała miniwykład.

– Korzystając z metody CRISPR-Cas9 staramy się w taki sposób zmodyfikować genom zadrowatych, aby przestały pasożytować na pszczołach i znalazły sobie innego żywiciela. To bardzo precyzyjna metoda, jesteśmy w stanie dokonać dokładnych cięć genomu w pożądanym przez nas miejscu. Co rzadkie przy tak skutecznych działaniach, są one dość tanie i wydajne. Musimy zadbać jedynie o odpowiednie gRNA i dostępność enzymu Cas9 w docelowych komórkach. Metoda sprawdziła się już w badaniach nad roślinami uprawnymi i gryzoniami. W 2013 roku dzięki CRISPR udało się wyłączyć u myszy jednocześnie aż pięć genów. Dwa lata później dokonano pierwszej modyfikacji ludzkich komórek.

– Super... – wykrztusił student, choć nie udało mu się przetrwać nawet połowy informacji, które usłyszał.

Tydzień później Marcin jeszcze raz przyglądał się monstualnym muszkom poddanym kolejnym genetycznym eksperymentom.

– Zamykaj budę i spadamy – krzyknął Damian, rzucając mu klucze z drugiego końca korytarza.

Student wszedł do pomieszczenia, pogasił światła, sprawdził poziom tlenu i temperaturę. Upewnił się, że wszystko gra i odwiesił fartuch na wieszak przy wejściu. Kiedy wychodził, poczuł lekkie ukłucie. Machnął ręką, zastanawiając się, czy to wymysł jego wyobraźni, czy też jedna z muszek opuściła wolierę – co od czasu do czasu się zdarzało – i właśnie go dziabnęła? – co zdarzyć się nie powinno.

Po godzinie dotarł do domu i wyczerpany padł na sofę, zapominając o całej sytuacji. Spał niespokojnie, pociał się mimo otwartego okna. Jego ciałem wstrząsały dreszcze.

– Przpracowuję się – mruknął, kiedy rano znów zadzwonił budzik.

Podczas przerwy Jagoda w swoim stylu podsumowała bladą cerę i podkrążone oczy praktykanta.

– A temu co? Wygląda jak jakiś *porra cadáver*.

– Odwal się – burknął Marcin z nietypową dla siebie agresją.

– Oho, szaraczek nabiera werwy. – Dziewczyna wydawała się raczej rozbawiona niż urażona.

– Może idź wcześniej do domu – zaproponował Damian, nie odrywając wzroku od ekranu game boya.

– Obejdzie się – syknął student i opuścił pomieszczenie, trzaskając drzwiami.

– Dziwnie się zachowuje. Damian, to twój praktykant, sprawdź, czy wszystko z nim w porządku – poleciła Wiola.

Mężczyzna z niezadowoleniem wcisnął pauzę i opuścił socjal.

Damian sukcesywnie przemierzał jednakowe, sterylne korytarze. Zaglądał kolejno do każdego laboratorium. Sprawdził ul szerszeni, bajoro z kijankami płazów i gigantyczne mrówkarium, gdzie niewielkie owady pod okiem naukowców budowały potężną, złożoną z kilkunastu miast-kopców cywilizację. Nigdzie nie znalazł podopiecznego. Najchętniej odpuściłby i wbił jeszcze jeden *level* – do końca przerwy zostało mu całe osiem minut! – ale wiedział, że z poleceniami Wioli lepiej nie polemizować.

Pozostało jeszcze sześć budynków do sprawdzenia. Damian westchnął z niezadowoleniem i zwrócił się do wyjścia, ale w głównym holu – jedynym miejscu gdzie wszechobecna biel ustępowała ciemnej, diorytowej posadzce i zieleni okazałych liści sagowców – usłyszał dziwne charczenie. Dobiegało z męskiej toalety. Zmarszczył czoło, podszedł jak najciszej i ostrożnie pociągnął za klamkę.

Ze środka wypadł Marcin. Ślinił się obficie, warczał i zapamiętale machał rękoma, jakby chciał wydrapać opiekunowi oczy. Damian pchnął drzwi, próbując przytrzymać oszalałego studenta wewnątrz toalety. Marcin wycofał się na chwilę, syknął i z zaskakującą jak na jego posturę siłą przypuścił kolejny atak.

Praktykant naparł na przeszkodę z taką mocą, że drzwi wypadły z zawiasów. Naukowiec dopiero teraz ujrzał obłęd w jego przekrwionych oczach i zzieleniałą, pulsującą ruchem robaczkowym skórę. Marcin rzucił się na opiekuna z potępińczym rykiem, wykręcił mu rękę i wbił zęby w przedramię. Zaciśnięte z całych sił szczęki rozerwały skórę ofiary i skaleczyły zewnętrzne warstwy mięśnia ramiennie-promieniowego.

Damian zawył z bólu. Zdołał oswobodzić się kopniakiem i trzymając przedramię blisko ciała, uciekł, zostawiając za sobą krwawy ślad.

Marcin stracił zainteresowanie opiekunem. Ruszył w przeciwnym kierunku. Za pękatą donicą z maczugowcem spostrzegł Wiolę. Dyrektor placówki widziała całą sytuację, więc bez chwili wahania użyła paralizatora.

Elektrody wbiły się w mięśnie studenta i zaskrzyły niebieskimi fajerwerkami. Prąd przepływał przez ciało Marcina, wywołując drgawki. Zombie zwolnił tempo, ale wciąż zbliżał się do upatrzonej ofiary. Upadł dopiero, gdy Wiola przekręciła potencjometr i zmusiła urządzenie do skorzystania z maksymalnej mocy.

Opatrzyli ramię Damiana i położyli go na sofie w pomieszczeniu dla pracowników. Marcina zamknęli w izolatce. Przypatrywali mu się przez szklaną ścianę i zastanawiali nad tym, co się właściwie wydarzyło.

– Sprawdziłam wyniki eksperymentów – oznajmiła Basia. – Tydzień temu dostarczono nam złe fragmenty DNA, a mimo to się przyjęły. Wygląda na to, że nam się udało. W pewnym sensie. *Apocephalus* zamiast pszczoł atakują teraz ludzi. Jeden z owadów musiał uządlić Marcina. Jeśli pasożyty doprowadzają do szaleństwa pszczoły, to...

– To podobnie może być z ludźmi, szczególnie, że nasze zadrowate są dziesięciokrotnie większe niż na wolności – dopowiedziała Wiola.

– Co możemy zrobić?

– To zależy jak długi jest cykl życiowy wyhodowanej przez nas formy.

– Przyspieszony. Znacznie.

Na dowód tego skóra zamkniętego w izolatce chłopaka zaczęła pulsować jeszcze intensywniej. Student odbijał się od ścian, już od dawna nie panował nad własnym ciałem. W pewnym momencie zaczął się drapać po twarzy i szyi, jakby próbował zedrzeć z nich skórę – miejscami z powodzeniem. Ból rozdrapanych ran i oka wypływającego z oczodołu były jednak niczym w porównaniu z ogniem, który trawił go od środka.

Nagle spomiędzy odsłoniętych mięśni i narządów, wraz z kolejnymi falami czerwonej, tętniczej krwi, zaczęły się wydostawać tłuste, brązowe larwy. Przypominały spleśniałe, pokryte przejrzystą mazią miniaturowe croissanty. Pierwszy ohydny minirogal spadł na podłogę z mokrym plaśnięciem, za nim wysypały się kolejne. Te, które przeżyły, zaczęły pełznąć w stronę kratki wentylacyjnej, zamocowanej u dołu wejścia do izolatki.

Kiedy jedna z larw znalazła drogę na zewnątrz, Wiola z obrzydzeniem rozgniotła ją obcasem.

– Odciąć zasilanie w całym kompleksie. Kiedy spadnie poziom tlenu, te poczwary wyzdychają – zarządziła.

Bartolomeo rzucił się do skrzynki z bezpiecznikami, wszyscy wiedzieli, że dyrektor ma rację. Stawonogi oddychają tchawkami, tworzącymi system rozgałęzionych rurek, którymi powietrze wędruje po całym ciele owada. Przy określonej ilości tlenu w powietrzu owady, wije i pajęczaki nie mogą przekroczyć pewnych rozmiarów, aby się nie udusić. Owady, nad którymi pracowali, osiągały rekordowe rozmiary dzięki podtrzymywaniu w laboratoriach wysokiej zawartości tlenu w powietrzu. Po odcięciu prądu poziom tlenu szybko spadał. Czekali, aż obniży się poniżej standardowych dwudziestu jeden procent.

Światło zgasło, mimo że na dworze świeciło słońce, w korytarzu bez okien zapadły egipskie ciemności. Jagoda wytrzasnęła skądś czołówki. Założyła jedną z nich, drugą oddała Wioli.

Oddychało im się coraz ciężiej.

Promień białego światła wyławiał z ciemności kratkę w drzwiach izolatki. Larwy zwijały się i zapadały w sobie. Tlen nie docierał do wszystkich narządów, dusiły się.

– *Vafanculo*, gnidy. – Jagoda pożegnała maskary środkowym palcem.

– *Corrente?* Włączyć prąd? – krzyknął z końca korytarza Włoch.

– Zaczekaj, chcę mieć pewność, że wszystkie padną. Chodź ze mną do laboratorium ochrony zapylających, sprawdzimy, czy formy dorosłe też zdechły. Jagoda i Basia pójdą zobaczyć, co z Damianem.

Kobiety przytaknęły i ruszyły w kierunku pomieszczenia dla pracowników.

Stąpały ostrożnie. Obawiały się, że gdzieś mogą czaić się złowieszcze larwy. W nikłym świetle lampki czołowej widziały tylko najbliższe otoczenie.

Zanim dotarły do celu, Basia wrzasnęła przeraźliwie i zaczęła miotać się w wąskim przejściu. Pod jedną ze ścian stała komoda z kolbami i zlewkami. Kobieta wpadła na mebel, zrzucając na ziemię naczynia. Dźwięk tłuczonego szkła i chrzęst odłamków pod butami nie zagłuszył jednak przeraźliwej prośby:

– Mam coś na szyi, zdejmij to, zdejmij!

Nad kołnierzykiem laborantki siedziała dorosła forma *Apocephalus*. Najwidoczniej imago mogły wytrzymać bez odpowiedniego poziomu tlenu dłużej niż larwy. Owad niepewnie wspinał się po skórze kobiety, jakby wiedział, że nie zostało mu dużo czasu.

Basia krzyczała i odbijała się od ścian, przez co Jagoda nie mogła skierować światła latarki w odpowiednie miejsce i unieszkodliwić insekta. Tymczasem stwór w ostatnich podrygach uniósł odwłok i wbił pokładełko w kark laborantki.

– Nie!

Kobieta dalej krzyczała i miotła się między ścianami. Próbowwała uciskać miejsce iniekcji, wydusić z siebie jaja zadrowaty, ale wiedziała, że jest już za późno.

W szale zaczęła uderzać głową w ścianę, aż z rozcięcia na czole pociekła krew. Uspokoila się dopiero, gdy posoka zaczęła spływać jej do oczu. Zrzuciła okulary i otarła twarz.

– Zostań tu – poradziła Jagoda.

Pomogła usiąść Basi pod ścianą i kazała zaczekać. Obie z trudem łąpały powietrze.

– Sprawdzę, co z Damianem, i wrócimy po ciebie. Wymyślimy, jak się pozbyć tych *fahise* z twojego ciała. – Zostawiła koleżankę i ruszyła w kierunku pokoju pracowniczego.

– Damian, wszystko w porządku? – spytała, delikatnie odsuwając drzwi pomieszczenia i ostrożnie wychylając się za próg.

Z kanapy zwisał koc, którym przykryli rannego kolegę.

– Śpisz? – upewniała się, podchodząc do sofy, ale kiedy znalazła się wystarczająco blisko, zauważyła, że pod poplamionym czerwienią pledem nikogo nie ma.

Krew musiała przesączyć się przez opatrunek. Może Damian poszedł poszukać świeżych bandaży? – zastanawiała się.

Usłyszała warknięcie. Zanim zorientowała się, z której strony dobiega, ktoś wyskoczył z cienia i powalił ją na ziemię.

Damian charczał przeraźliwie i szarpał fartuch koleżanki. Jagoda, próbując się oswobodzić, wycelowała promień latarki w oczy napastnika, lecz ten nawet nie zamrugął. Przypadkowy cios zadany przez oszalałego mężczyznę zamroził ją na chwilę. Odsłoniła się. Wystarczyła sekunda.

Zawyła z bólu, kiedy Damian lub to, co po nim zostało, ugryzł ją w szyję. Zaskakująca siła, z jaką zaciskały się szczęki napastnika, zmiażdżyła jej krtań. Nie mogła złapać tchu. Teraz wiedziała, jak czuły się larwy *Apocephalus*, które wcześniej unieszkodliwili.

Zombie nie odpuszczał, kąsał raz za razem, zadawał kolejne obrażenia. W rany leniwie wpęzwały obłe larwy, które chwilę wcześniej wydostały się z jego ciała. Ostatnią rzeczą jaką czuła Jagoda, były owady przeciskające się między odsłoniętymi mięśniami łydki i ramienia.

Bartolomeo i Wola znaleźli Basię opartą o ścianę korytarza. Odłamki szkła wyścielały podłogę jak liście ściółkę jesiennego lasu. Jednym z nich laborantka podcięła sobie żyły. Z jej nadgarstków czerwonym strumieniem wypłynęło życie. Włoch sprawdził puls koleżanki.

– Nie żyje.

Popędzili do pokoju pracowniczego.

Światło zapłonęło, ale nie oślepiło znajdujących się w socjalu ludzi. Damian w swej niepoohamowanej agresji nie zwrócił na nie uwagi, a niewidzące oczy Jagody dowodziły, że zgasła przed chwilą.

Napastnik z groźnym sapnięciem odwrócił się w stronę Wioli i Bartolomeo. Przyczał się nisko na nogach, jak wilk szykujący się do skoku na ofiarę. Barczysty Włoch nie zamierzał się łatwo poddawać. Zablokował zombie potężną dźwignią, wyginając ciało tak, by nie dać się ugryźć.

– Co z nim zrobimy? – spytał, z trudem utrzymując dawnego kolegę w ryzach.

Wiola nie odpowiedziała, chwyciła stojący w rogu wieszak na ubrania i uniosła nad barkiem niczym przerośnięty kij baseballowy.

– Puść go – wydusiła, kiedy była gotowa.

Zaskoczony Włoch na sekundę stracił koncentrację.

Zombie wyswobodził się z zapaśniczych objęć. Bartolomeo odskoczył z krzykiem.

Dyrektor nie dała odwrócić swojej uwagi. Skupiła się na celu. Przyłożyła Damianowi prosto w czaszkę. Potwór zachwiał się, miał zmiażdżoną połowę twarzy, ale nie przestawał warczeć. Spomiędzy pękniętych kości twarzy wypadały pojedyncze owady.

Wiola upadła i jęknęła, zraniwszy się w kolano. Podniosła się jednak, zanim zombie ponownie zaatakował. Dwa kolejne zamaszyste ciosy unieszkodliwiły go na dobre.

Larwy, które wydostały się z jego ciała, dusiły się w ciągu kilkadziesiąt sekund.

Bartolomeo patrzył na przełożoną z przerażeniem. Była wymagającą szefową, ale nigdy nie podejrzewał, że może z zimną krwią rozwalić komuś czaszkę.

– Zarządzam kwarantannę – oznajmiła Wiola. – Zostajemy tu przez czterdzieści osiem godzin, aż będziemy mieć pewność, że wszystkie te diabelstwa wypelzły z trupów i podzieliły ich los. Nie chcę nawet myśleć, co się stanie, jeśli się stąd wydostaną. Są znacznie większe niż zwyczajowe zadrowate, ale będą w stanie przeżyć przy standardowej ilości tlenu. Poza

laboratorium nie uda nam się ich tak łatwo wybić. Co jest? Co tak patrzysz jakbyś... Cholera.

– Zrozumiała.

Włoch przytaknął.

– Zadrapał mnie, a kilka z tych *diavolo* dostało się do rany. Czuję je pod skórą.

Nie zareagowała od razu. Spojrzała w dół, oświetliła ranę na nodze i wyznała:

– Ja też. Dorwały mnie, kiedy upadłam. Musimy znaleźć lekarstwo.

Włączyli światło w jednym z laboratoriów mikroskopowych i podnieśli zawartość tlenu do normalnego poziomu. Zawroty głowy ustały. Z zebranych martwych larw i osobników dorosłych *Apocephalus* przygotowali próbki histologiczne i do badań genetycznych. Nie znaleźli jednak żadnego rozwiązania. Mogli zająć się inżynierią kolejnych pokoleń, ale nie mogli powstrzymać tego, co działo się w ich ciałach.

– To koniec – wyznała w końcu Wiola.

– Zamknij się! – warknął Bartolomeo.

Niezrozumiała agresja była pierwszą oznaką zarażenia.

– Nie zostało nam wiele czasu, wiesz, co musimy zrobić.

– Wal się!

Wiola widziała, że dla niego jest już za późno, musiała zdecydować za nich oboje. Nie mogła dopuścić do tego, aby zaraza rozprzestrzeniła się poza laboratorium.

Dyrektor placówki wróciła do pomieszczenia pracowniczego, napisała e-mail z prywatnego komputera i wysłała z poleceniem dostarczenia ze stosownym opóźnieniem. Lepiej, żeby znaleźli ich, kiedy wszystkie larwy w ich ciałach zdechną.

Kobieta wyjęła ze swojej szafki coś jeszcze, po czym wróciła do laboratorium. Włoch wciąż bezskutecznie pracował przy mikroskopie.

– Wymyśl coś albo cię zabiję! – przywitał ją.

Pocił się obficie, oczy mu się szklily. Było coraz gorzej. Wiola też nie czuła się najlepiej.

– Przepraszam – powiedziała, wyciągając broń.

Włoch spojrzał zaskoczony prosto w lufę poręcznej beretty.

– Ile masz naboju? – zapytał spokojniej. Jeszcze walczył.

– Wystarczy dla nas obojga.

– Zatem zrób to.

Nie powiedział nic więcej. Huk, który wprawił laboratoryjne szkło w drgania był ostatnią rzeczą jaką, usłyszał. Zlewki drgały jak podczas tąpnięcia w pobliskiej kopalni, ale trzęsienie ziemi w Instytucie Entomologii było tylko metaforą. I niedomówieniem. W praktyce mieli do czynienia z Armagedonem.

Z dziury w czaszce mężczyzny wytrysnęły krople krwi, fragmenty mózgu i nadpalone ciała owadów. Wiola uspokoiła oddech, starała się nie myśleć o tym, co właśnie zrobiła, ani o tym, co musi zrobić za chwilę.

Przystawiła pistolet do skroni.

Ręka jej się trzęsła. Była zdecydowana, ale czym innym jest odebranie czyjegoś życia, a czym innym przedwczesne zakończenie własnego.

Rozplakała się.

Położyła palec na spuście.

Następnego dnia widziano kobietę w białym fartuchu kręcącą się wokół stadionu piłkarskiego bez wyraźnego celu. Powłóczyła nogą, odbijała się od zaparkowanych wzdłuż ulicy samochodów. Wyglądała na zalaną w trupa.

Nie była pijana. Ale praktycznie już była trupem.

– Hej, wszystko w porządku, dziewczyno? – spytał przechodzący w pobliżu mężczyzna.

Zombie zaatakował.



UBRANIA I DODATKI DLA FANÓW GROZY

 SPOOKYSTUFFSHOP



„They're coming to get you, Barbara!”

Marcin Knyszyński

Każdy, kto choć trochę interesuje się popkulturą (a zwłaszcza jej fantastycznymi obszarami), wie, kim/czym są zombie. Ludzkie zwłoki w najróżniejszych stadiach rozkładu, animowane przez bliżej nieokreśloną siłę (ostatnio zazwyczaj jest to jakiś wirus) i wiecznie głodne ludzkiego mięsa. Ten obrazek już na dobre zadomowił się we współczesnym filmie, komiksie i literaturze. A przecież tak naprawdę „zombie” to niekoniecznie trup. Ten pochodzący z haitańskiego folkloru termin w wierzeniach tamtejszego ludu oznacza nieboszczyka, który, poruszany za pomocą magii voodoo, może być wykorzystywany przez czarownika do różnych celów – najczęściej do pracy w polu, choć skrytobójstwa także nie można wykluczyć. Jednak w praktyce nie chodzi tu o trupa przywróconego do życia, lecz odurzonego silnymi narkotykami żywego człowieka. Tacy opętani przez czary, nieświadomi swego stanu ludzie pojawiali się w popkulturze już od czasów przygodowej powieści „The Magic Island” Williama B. Seabrooka z 1929 roku i jej luźnej, filmowej adaptacji zatytułowanej „White Zombie” z Bělą Lugosim w roli głównej. Więc o co tak naprawdę chodzi z tymi żywymi trupami?

Zapomnijmy na chwilę o voodoo i tajemniczych rytuałach mieszkańców Karaibów. Sięgnijmy jeszcze dalej, do starych historii o martwych istotach poruszanych przez nieznaną siłę – wymieńmy przynajmniej „Frankensteina” Mary Shelley, kilka opowiadań Lovecrafta z „Herbertem Westem-Reanimatorem” na czele czy chociażby króciutki tekst Ambrose’a Bierce’a „Pewnej letniej nocy...” ze zbioru „Czy to się mogło zdarzyć?”. Ale to nadal nie są te przerażające opowieści, budowane wedle znanego wszystkim schematu – bezmyślne, żywe trupy ściągające ludzi, ostatkiem sił próbujących ocalić swoje życia na świecie dotkniętym apokalipsą. Wszystko to zaczęło się dokładnie pięćdziesiąt lat temu, w 1968 roku, kiedy to w kinach pojawił się jeden z najważniejszych horrorów w dziejach – „Noc żywych trupów”. Reżyser, George A. Romero, stworzył tym samym niemal nowy rodzaj horroru – nazwijmy go sobie survival-zombie-horrorem. I to właśnie jego produkcje (i niezliczone dzieła jego

popkulturowych spadkobierców) mamy na myśli, gdy słyszymy hasło „film o zombie”. Jak doszło do tej – nie bójmy się użyć tego słowa – rewolucji?

Zanim odpowiemy na to pytanie, warto zajrzeć na chwilę do nowelki „Jestem legendą” Richarda Mathesona z 1954 roku. Jest to historia pewnej przerażającej pandemii, która doprowadziła do zagłady ludzkości. Główny bohater ukrywa się w zniszczonym Nowym Jorku przed stadami wampirów, które każdej nocy wychodzą na żer. Na świecie jest coraz mniej ludzi, wszyscy stopniowo zamieniają się w krwiożercze bestie. Nadeszła apokalipsa.

George A. Romero uwielbiał powieść Mathesona. Bardzo chciał pokazać, jak owa apokalipsa się w ogóle zaczęła, wszak w „Jestem legendą” mamy do czynienia z jej końcówką – ludzkość już praktycznie nie istnieje. Matheson użył wampirów, więc Romero wpadł na pomysł, że u niego to chodzące trupy, rozsmakowane w ludzkim mięsie, będą zagrożeniem. Celowo nie używał słowa „zombie” (w filmie to słowo nie pada ani razu), chcąc nadać swoim potworom bardzo indywidualny charakter, niezwiązany w ogóle z haitańską magią, lecz z siłami samej natury. Ekipa filmowa podczas pracy na planie nazywała stwory „ghulami”.

„Noc żywych trupów” opowiada o przejściach młodej, dwudziestoparoletniej dziewczyny o imieniu Barbara, która przyjeżdża z bratem na grób ojca. Podejrzenie opustoszały cmentarz, nadchodzący zmierzch, problemy z radiem powodują irracjonalne uczucie zagrożenia. Brat złośliwie straszy siostrę, przywołując jej zapomniane już strachy z dzieciństwa – „Oni cię dopadną, Barbaro!”. Jakiś dziwnie poruszający się człowiek, przypominający trochę Borisa Karloffa z wiadomego filmu, atakuje rodzeństwo – ot tak, bez przyczyny. Tom traci przytomność, zszokowana Barbara salwuje się ucieczką. Trafia do opuszczonego domu na odludziu, gdzie zszokowana próbuje zrozumieć absurd i grozę swojego położenia. Do domku dociera też pewien kierowca, który również został zaatakowany przez grupę ożywieńców. Okazuje się, że w piwnicy ukrywają kolejni przerażeni ludzie. Wszyscy muszą zewrzeć szyki i odeprzeć atak chodzących trupów, które w coraz większej liczbie podchodzą pod domostwo.

Historia powstania filmu, jak to zawsze bywało z niskobudżetowymi, niezależnymi produkcjami, była bardzo burzliwa. Trójka przyjaciół – Russell Streiner, John Russo i George A. Romero pracowali w biznesie reklamowym i chcieli spróbować swych sił w kinematografii, a horror był wymarzoną gałęzią. Ich mała firma współpracowała z wytwórnią filmów na potrzeby przemysłu „Hardman Associates Inc.”. Gdy pewnego dnia Romero i kumple zaproponowali kierownictwu wytwórni nakręcenie wspólnymi siłami niskobudżetowej produkcji, ci nie wahali się ani chwili. Co więcej, zagrali w niej – Karl Hardman i Marylin Eastman to przecież małżeństwo, ukrywające się w piwnicy. Skromny budżet, wynoszący nieco ponad sto tysięcy dolarów, wymusił ograniczenie lokacji do jednego, małego domku (który

i tak był do rozbiórki, więc zadyma z żywymi trupami była właścicielowi wyjątkowo na rękę). Tym bardziej przyczyniło się to do spotęgowania klimatu paranoi i osaczenia. Scenariusz ewoluował w trakcie kręcenia obrazu, wiele scen i kwestii było po prostu improwizowanych. Powstał tak naprawdę pierwszy, poważny film o nieumarłych – taki, który porażał swym realizmem i dosłownością. Jakże inny od horrorów poprzedniej dekady, od tych, co tu dużo mówić, infantylnych, głupiutkich, kiczowatych i przeznaczonych głównie dla dzieci opowieściach. Romero zlikwidował dystans pomiędzy widzem a wydarzeniami na ekranie, przedstawił wszystko w bardzo poważny, reporterski sposób, którego oddziaływanie było wzmacniane dodatkowo czarno-białym obrazem. Celem filmu nie była już rozrywka, lecz po prostu trauma.

Premiera „Nocy żywych trupów” odbiła się szerokim echem w świecie kina. Rodzice i dzieci, obławiani sokami i popcornem, przyzwyczajeni do zabawnych potworów Eda Wooda, nie mogli uwierzyć własnym oczom. Do miejskich legend przeszły już historie o zapłakanych dzieciach kulących się pod fotelami i rodzicach wybiegających z kina ze swoimi pociechami pod pachą. Film został oskarżony o gloryfikację przemocy i zachęcanie do kanibalizmu (!). Romero i Russo przyznali po latach, że nie przypuszczali, że ten film wywrze tak mocne wrażenie. Zżyli się z fabułą i scenografią, przyzwyczaili się, stracili dystans – nie zmieniliby jednak nic z tego co zrobili. Film łamie wiele niepisanych kulturowych tabu – dziecko brutalnie zabija swą matkę, wnętrzności wypływają z brzucha i są od razu pożerane, głowy pękają, mózgi rozbryzgują się na ścianach. I wszystko to w centrum kadru, w pełnym świetle, bez niedopowiedzeń – prosto w twarz oniemiałego widza. Nie było takich filmów do tej pory. I jeszcze to dobijające zakończenie...

George A. Romero ustalił zasady kina zombie-apokalipsy (od kolejnego filmu potwory są już tak nazywane, termin okazał się niebywale nośny). To ojciec filmów o żywych trupach – dokładnie takich, jakie znamy teraz. Wyciągnął zombie ze świata voodoo i magii, uczynił z tego słowa nową jakość. Zombie Romero to trup, którym zawiaduje nieznama siła (w pierwszym filmie zasugerowano, że chodzi o jakieś tajemnicze promieniowanie). Zmarli poruszają się w charakterystyczny, mechaniczny, powolny sposób. Pojedynczy ghul nie stanowi wielkiego zagrożenia, można go pokonać – jednak siła żywych trupów tkwi zawsze w kolektywie. Gdy zamienią się w posuwającą się ślimaczym tempie falę, są nie do zatrzymania. Charakterystyczny obrazek rąk i głów przebijających zabite deskami drzwi i okna jest tego najlepszym i najczęściej przywoływanym przykładem. Zombie pragną tylko jednego – zjeść ludzkie mięso. Zabić stwora można tylko poprzez strzał w mózg lub spalenie. Oczywiście w kolejnych filmach figura zombie ewoluuje – co widać wyraźnie w tych wyprodukowanych

po 2000 roku. Zombie zaczynają być niebywale szybkie i silne, co przesuwają nieco wszystkie opowieści o nich z horroru do kina akcji. Liczy się bodycount i fajerwerki – kosztem klimatu. A przecież Romero powtarzał rozbawiony prawie w każdym wywiadzie: „Zombie nie biegają! To przecież tylko trupy!”.

Współczesne filmy o zombie łączy jeszcze kilka innych cech, które zdefiniowała „Noc żywych trupów”. Epidemia rozszerza się szybciej niż jakikolwiek rząd jest w stanie zareagować. Chaos i walka o życie zaczyna się od razu, bez stopniowania napięcia. Nie ma możliwości natychmiastowej organizacji globalnej obrony, katastrofa jest zawsze obserwowana z poziomu niewielkiej grupy osób, walczącej o przeżycie na ograniczonej przestrzeni i w określonym czasie. Z potworami się nie negocjuje, one jednoznacznie są zagrożeniem, które trzeba natychmiastowo eliminować lub przed nim uciekać. To nie istoty, lecz raczej siły natury – równie dobrze możemy próbować dojść do porozumienia z powodzią. Panuje powszechne wrażenie beznadziei i bezsiły wobec epidemii. Nie da się z nią wygrać, można tylko odwlekać nieuniknione. I tych zasad trzymają się praktycznie wszystkie filmy-dzieci „Nocy żywych trupów” – czasem wprowadzając inne tłumaczenia co do przyczyny kataklizmu, bądź samego przebiegu przemiany.

W 1974 roku Romero odwiedził swojego dobrego kumpla, Marka Masona, i udali się razem do Monroeville Mall – wielkiego centrum handlowego. Mason zasugerował, że to jest idealne miejsce na przetrwanie zombie-apokalipsy, co zainspirowało Romero do napisania scenariusza do „Świt żywych trupów”. Produkcja tego filmu, nazywanego często najlepszym filmem o zombie, jaki kiedykolwiek powstał, również od samego początku borykała się z problemami finansowymi. Z pomocą przyszedł inny słynny reżyser horrorów, Dario Argento i jego „włoskie pieniądze”, jak to czasem żartobliwie określał Romero, pytany o historię powstania filmu.

Zdjęcia kręcono oczywiście w Monroeville Mall, zawsze w nocy, gdy było zamknięte – Romero nigdy nawet nie myślał o innej lokacji. Za charakteryzację odpowiadał słynny Tom Savini, aktor, kaskader, reżyser i spec od przekształcania ciał aktorów w rozkładające się zwłoki, który sam zagrał w filmie (oraz w remake’u dwadzieścia sześć lat później). Zombie pokazały się wreszcie na kolorowo, krew była w końcu czerwona – choć twarze, co zgodnie po latach stwierdzili twórcy filmu, były nieco zbyt niebieskie. We wrześniu 1978 do kin wchodzi „Świt żywych trupów”, film spokojny i melancholijny, choć niepozbawiony grozy. Jakże inny od swoich naśladowców.

Akcja rozgrywa się około trzy tygodnie po wydarzeniach z „Nocy żywych trupów”. Cały świat już wie, że nadchodzi koniec ludzkości w jej dotychczasowej postaci. Dwójka

pracowników stacji telewizyjnej porywa służbowy helikopter, widząc w tym szansę na przeżycie. Dołącza do niej dwóch komandosów z oddziału S.W.A.T., który właśnie urządził jatkę w miejscu, gdzie zgromadziły się spore zastępy zombie. Dezombifikacja wymknęła się nieco spod kontroli, funkcjonariusze postanawiają ratować własną skórę i wraz z nowo poznanymi dziennikarzami zaszywają się w opuszczonym centrum handlowym. Po likwidacji włóczących się po nim zombie tworzą z supermarketu twierdzę, która zapewnia im azyl na długie miesiące. Tymczasem ilość żywych trupów otaczająca budynek rośnie.

Ghule ze „Świtu żywych trupów” są jeszcze bardziej śmieszne i nieporadne niż te z pierwszego filmu. Możesz obok nich przejść, kopnąć w tyłek, plasnąć tortem w twarz, a i tak cię nie dopadną. Chyba że zbiorą się do kupy i odetną ci drogę ucieczki. Ludzie urządzają w centrum handlowym prawdziwą rzeź, stosy trupów (trupów?) z przestrelonymi głowami są wożone taczkami do chłodni. Bohaterowie spędzają w centrum handlowym długie miesiące, jednak ostatecznie to tylko odwleka nieunikniony finał. Mamy do czynienia z apokalipsą pełzającą, kropla przecież tak długo draży skałę, aż osiągnie swój cel. Przeciągający swą egzystencję bohaterowie w pełni zdają sobie z tego sprawę, twierdząc, że prawdopodobnie w piekle skończyło się już miejsce, skoro umarli chodzą po ziemi.

Drugi film o zombie w reżyserii Romero postrzegany jest często jako analiza społeczna epoki końca lat siedemdziesiątych – czasów, gdy rany z Wietnamu już się goiły, władzy nie można było ufać, a powstające wszędzie centra handlowe zapowiadały boom konsumpcjonizmu lat osiemdziesiątych. Zombie pełnią tu kilka ról. Raz symbolizują ludzi z nizin społecznych i slumsów, których władza najchętniej wystrzelałaby jak kaczki, pozbywając się tym samym problemu. Innym razem można w nich dostrzec społeczeństwo ogarnięte szaleństwem kupowania, konsumowania i telewizyjną papką. Dlaczego zombie tak masowo ciągną do supermarketu, w którym ukrywają się bohaterowie? Najprawdopodobniej ich szczątkowa pamięć o poprzednim życiu mówi im, że było to miejsce często przez nich odwiedzane. Konsumpcjonizm zdobywa tutaj bardzo humorystyczne, bo dosłowne znaczenie. Reżyser powiedział wyraźnie, że zombie po prostu symbolizują ludzi, a jego filmy mówią o tym, że największym wrogiem każdego człowieka będzie zawsze drugi człowiek. Romero chciał zwrócić uwagę na brak chęci zrozumienia i wysłuchania innej osoby, erozję stosunków międzyludzkich, brak szacunku dla innych. Film mówi też o przesadnym pokładaniu nadziei w aparat rządowy oraz nadmiernym ufaniu mediom i telewizji. Gdy przyjdzie zagłada, każdy i tak będzie pozostawiony sam sobie.

Bardzo wysokie oceny i powszechny aplauz, jaki towarzyszył premierze filmu i wybrzmiewał jeszcze przez długi czas, w naturalny sposób przyczyniły się do powstania

planów co do trzeciej części. George A. Romero planował swoje opus magnum, coś, co żartobliwie nazywał „Przeminęło z wiatrem filmów o zombie”. Rzeczywistość jednak zweryfikowała plany reżysera – aby film był dochodowy i nie został zakwalifikowany jako „tylko dla dorosłych” trzeba było iść na ustępstwa. Scenariusz był krojony i przepisywany po kilka razy. Ostatecznie, latem 1985 roku, na ekrany kin wchodzi trzecia część nieformalnej trylogii o zombie, zatytułowana „Dzień umarłych”.

Zombie opanowały już cały świat, ludzka cywilizacja przestała praktycznie istnieć. Żywych trupów jest już kilkaset razy więcej niż walczących o przetrwanie ludzi. Akcja filmu dzieje się w podziemnej bazie wojskowej, w której grupa naukowców przeprowadza badania nad naturą zombie. Towarzyszy im mały oddział wojskowy, dowodzony przez despotycznego i nie znoszącego sprzeciwu Kapitana Rhodesa. Główna bohaterka, Sarah, oraz jej towarzysze łapią od czasu do czasu jakiegoś pojedynczego stwora i dostarczają go do tajnego laboratorium, gdzie doktor Logan przeprowadza na nim mało humanitarne (jeśli to słowo cokolwiek znaczy w odniesieniu do zombie) doświadczenia i badania mózgu. Jeden z pochwyconych trupów, ochrzczony imieniem Bub, został wręcz pupilkiem doktora – Logan uczy potwora przywiązanego łańcuchami do ściany typowych ludzkich reakcji i zachowań. Albo jeszcze inaczej – przywołuje te cechy z głębi czegoś, co możemy nazwać „świadomością” chodzącego trupa. I to właśnie ten egzemplarz wzbudza najbardziej skrajne reakcje u bohaterów. „On jest człowiekiem. To mnie przeraża najbardziej” – jak mówi jedna z postaci.

W tym filmie wszyscy na siebie bez przerwy wrzeszczą. Wojskowi wymuszają w ten sposób resztki autorytetu, zupełnie bezużytecznego w świecie, w którym przyszło im istnieć. Krzyczą i stosują przemoc na małej garstce cywili – nie będą przecież z nimi normalnie rozmawiać, skoro mają karabiny. Naukowcy również nie pozostają między sobą w dobrych relacjach, emocje biorą górę. Zupełnie inaczej niż u bezmyślnych (choć już coraz mniej) potworów, powoli, lecz konsekwentnie realizujących swój cel. W tym odbierającym wszelką wiarę i nadzieję świecie wszystko kończy się jednoznacznie – krwawą jatką i kolejną ucieczką nie wiadomo dokąd i po co.

Wszystkie części trylogii doczekały się remake'ów. W 1990 roku na stołku reżysera usiadł nikt inny, jak Tom Savini. Nowa, kolorowa wersja „Nocy żywych trupów” okazała się całkiem niezłym filmem, w którym zmieniono nieco charakter głównej bohaterki, Barbary. Jest tu ona silną, pewną siebie kobietą a nie bełkoczącą biedaczką w nieprzeniknionym stuporze. Jeszcze lepszym filmem jest „Świt żywych trupów” z 2004 roku w reżyserii debiutującego Jacka Snydera. Tutaj również mamy supermarket i chroniących się w nim ludzi, lecz nie znajdujemy już drugich den i alegorii. Na ekranie króluje akcja, strzelanina, zombie-sprinterzy i eksplozje

kolorowych fajerwerków. Ale zrobione jest to wszystko świetnie, z jajem, polotem i naprawdę w ciekawy sposób. Nie można niestety tego powiedzieć o remake'u „Dnia umarłych”, który w 2008 roku miał swoją premierę na DVD. Nie oglądajcie tego filmu.

Tak zwana „pierwsza trylogia zombie” Romero wywarła niesamowity wpływ na popkulturę. Powstała niezliczona ilość filmów opartych na schemacie zombie-apokalipsy. Wymieńmy kilka najbardziej godnych uwagi. Pierwszym niech będzie, paradoksalnie, film nie mający nic wspólnego z zombie. W 1976 powstaje kultowy „Atak na posterunek 13” w reżyserii Johna Carpentera. Bohaterowie zabarykadowani w opuszczonym posterunku, gdzieś na przedmieściach Los Angeles, bronią się przed hordami nacierających na nich bandziorów, którzy są tu raczej siłami natury, a nie żywymi ludźmi. Nawiązania do „Nocy żywych trupów” są ewidentne, zresztą Carpenter sam wyraźnie podkreślał, jakim filmem się inspirował. W 1981 inna grupa osób dociera do tajemniczej chatki w lesie i za pomocą „Necronomiconu” (a jakże!) sprowadza piekło na ziemię. „Martwe zło” w reżyserii Sama Raimiego doczekało się po kilku latach swojej lżejszej i bardziej komediowej wersji nazwanej (trochę mylnie) „Martwym złem 2”, gdzie znany chyba wszystkim fanom filmowego horroru Ash za pomocą piły mechanicznej wyrzyna całe hordy zombie napierające na domek w głębi lasu.

W 1985 roku pojawia się „Powrót żywych trupów” w reżyserii Dana O'Bannona, ulubiony komediowy horror Quentina Tarantino. Bardzo luźne i campowe podejście do tematu zagwarantowało popkulturze jeszcze cztery kolejne „Powroty...”, każdy bardziej niedorzeczny niż poprzedni. W 1992 roku świat zapada na „Martwicę mózgu” Petera Jacksona – film chyba najbardziej krwawy i wprost absurdalnie ociekający przemocą. Jednak prawdziwy boom na zombie-movie wybucha w 2002 roku, kiedy to do kin wchodzi dwa filmy, w których do przemiany w zombie dochodzi w wyniku zarażenia eksperymentalnym wirusem. W marcu Mila Jovovich biega po klaustrofobicznych podziemiach „Ula”, czyli tajnego wojskowego laboratorium, i wali ze wszystkiego co możliwe do niezwykle szybkich i niebezpiecznych zombiaków w „Resident Evil”. Kilka miesięcy później wchodzi do kin „28 dni później” Danny'ego Boyle'a, film o wiele bardziej refleksyjny i zdecydowanie mniej nastawiony na akcję niż ekranizacja gry komputerowej. Obydwa filmy doczekały się swoich kontynuacji, żadna jednak nie dorównała naprawdę świetnie zrealizowanym pierwowzorom. Od tej pory zombie zaczynają biegać coraz szybciej, jeść coraz więcej, atakować coraz zacieklej i coraz bardziej przypominać niepowstrzymaną falę powodziową (co widać szczególnie mocno w niedocenionym trochę „World War Z” z 2013 roku, gdzie zombie były jedną wielką kłębiącą

się masą rąk, nóg i zębów). Do najlepszych, poważnych zombie-movie XXI wieku dołożyć musimy również wspomniany remake „Świtu żywych trupów” Snydera.

Ale survival horror, z ludźmi zamienionymi w krwiożercze bestie, to również parodia. Trzy filmy są tu szczególnie warte uwagi. „Wysyp żywych trupów” Edgara Wrighta z 2004 roku to prześmieszna komedia o dwóch nieudacznikach, którzy przez pół filmu dosłownie nie zauważają końca świata pukającego im prosto w drzwi. W 2007 roku Robert Rodriguez, we współpracy z Quentinem Tarantino, pokazał nam znakomicie nawiązujący do kina eksploatacji sprzed ponad czterdziestu lat film „Planet Terror”, który osobiście darzę szczególnym uwielbieniem za niesamowitą celność komentarza kina „tamtych czasów” i prawdziwą celuloidową radość. No i nie zapominajmy o rewelacyjnym „Zombieland” z 2009 roku, którego kontynuacja lada chwila ma pojawić się na ekranach kin.

Wspomnijmy jeszcze o głośnym komiksie „The Walking Dead” autorstwa Roberta Kirkmana i Tony’ego Moore’a. Pierwszy odcinek, wydany w 2003 roku, zapoczątkował powstanie swego rodzaju uniwersum rozwijanego już poprzez dwa popularne serie telewizyjne, serie internetowe, gry komputerowe, planszowe, karciane oraz powieści i całą masę najróżniejszych gadżetów. Nic dziwnego, że w obliczu tak wielkiego wzrostu popularności filmów o zombie do gry postanowił wrócić sam George A. Romero. Powstała druga trylogia filmów o żywych trupach – „Land of the Dead”, „Diary of the Dead” oraz „Survival of the Dead” (kolejno w 2005, 2007 i 2009 roku). Nie są to jednak filmy, które moglibyśmy zaliczyć do najbardziej udanych. Ani wierność charakterystycznemu, posuwistemu sposobowi poruszania się potworów (pamiętajcie, „zombie nie biegają!”), ani dalsze zgłębianie tematu rosnącej już od „Dnia umarłych” inteligencji zombie, ani spopularyzowany przez „Blair Witch Project” *found footage*, ani nawet szybka akcja nie dały rady uczynić tej trylogii czymkolwiek więcej, niż dziełem dla koneserów gatunku. Tak naprawdę są to produkcje tylko dla tych, którzy chcą zobaczyć WSZYSTKIE filmy o zombie, jakie kiedykolwiek powstały.

George A. Romero zmarł 16 lipca 2017 roku. W tę smutną rocznicę wejdźmy do jego świata jeszcze raz, zobaczmy jak się to wszystko zaczęło. *They’re coming to get all of you!*

O autorze:

Marcin Knyszyński. Rocznic 1979. Nałogowy czytelnik i kinoman. Zwolennik szczegółowego i wnikliwego podejścia do popkultury. W wolnej chwili czyta, pisze o tym co czyta, ogląda filmy pasjami i prowadzi bloga „Niekoniecznie jasno pisane” (<http://plejbekepiske.blogspot.com/>). Recenzuje dla Szortalu, Esensji i CarpeNoctem.pl oraz pisze artykuły dla kwartalnika „Okolica Strachu”.



SAMOTNOŚĆ

(ze zbioru *Sanatorium pod Klepsydrą*)

Bruno Schulz

Od kiedy mogę wychodzić na miasto, jest to dla mnie znaczną ulgą. Ale jakże długo nie opuszczałem mego pokoju! Były to gorzkie miesiące i lata.

Nie potrafię wytłumaczyć faktu, że jest to dawny mój pokój z dzieciństwa, ostatnia izba od ganku, już za owych czasów rzadko odwiedzana, wciąż zapominana, jakby nie należąca do mieszkania. Nie pamiętam już, jak tam zaszedłem. Zdaje mi się, że była noc jasna, wodnistobiała noc bezksiężycowa. Widziałem każdy szczegół w szarej poświacie. Łóżko było rozesełane, jakby dopiero co kto je opuścił, nasłuchiwałem w ciszy, czy nie dosłyszę oddechu śpiących. Któż mógł tu oddychać? Odtąd mieszkam tu. Siedzę tu od lat i nudzę się. Gdybym był zawczasu myślał o robieniu zapasów! Ach, wy, którzy jeszcze możecie, którym dany jest

jeszcze własny czas na to, zbierajcie zapasy, ciułajcie ziarno, dobre i pożywne, słodkie ziarno, bo przyjdzie wielka zima, przyjdą lata chude i głodne, i nie obrodzi ziemia w egipskim kraju. Niestety, nie byłem jak skrzętny chomik, byłem jak lekkomyślna mysz polna, żyłem z dnia na dzień bez troski o jutro, dufny w swój talent głodomora. Jak mysz myślałem sobie: cóż mi głód zrobi? W ostateczności mogę gryźć drzewo albo drobić pyszczkiem papier na drobne listeczki. Najuboższe zwierzę, szara mysz kościelna — na szarym końcu w księdze stworzenia — potrafię żyć z niczego. I tak oto żyję z niczego w tym umarłym pokoju. Muchy dawno w nim powyzdychały. Przykładam ucho do drzewa, czy tam w głębi robak nie chrobocze. Grobowa cisza. Tylko ja, nieśmiertelna mysz, samotny pogrobowiec, szeleszczę w tym martwym pokoju, przebiegam bez końca stół, etażerkę, krzesła. Sunę podobna do ciotki Tekli, w długiej szarej sukni do ziemi, zwinna, prędką i małą, wlokąc za sobą szeleszczący ogonek. Siedzę teraz w biały dzień na stole nieruchoma, jak wypchana, oczy moje, jak dwa paciorki, wyszły na wierzch i błyszczą. Tylko koniec pyszczka pulsuje ledwo dostrzegalnie, żując drobniutko z przyzwyczajenia.

To należy naturalnie rozumieć metaforycznie. Jestem emerytem, a nie żadną myszą. Należy to do właściwości mojej egzystencji, że pasożytuję na metaforach, daję się tak łatwo ponosić pierwszej lepszej metaforze. Zapędziwszy się tak, muszę dopiero z trudem odwoływać się z powrotem, wracając powoli do opamiętania.

Jak wyglądam? Czasem widzę się w lustrze. Rzecz dziwna, śmieszna i bolesna! Wstyd wyznać. Nie widzę się nigdy *en face*, twarzą w twarz. Ale trochę głębiej, trochę dalej stoję tam w głębi lustra nieco z boku, nieco profilem, stoję zamyślony i patrzę w bok. Stoję tam nieruchomo, patrząc w bok, nieco w tył za siebie. Nasze spojrzenia przestały się spotykać. Gdy się poruszę i on się porusza, ale na wpół w tył odwrócony, jakby o mnie nie wiedział, jakby zaszedł poza wiele luster i nie mógł już powrócić. Żal ścisza serce, gdy go widzę tak obcego i obojętnego. Przecież to ty, chciałbym zawołać, byłeś moim wiernym odbiciem, towarzyszyłeś mi tyle lat, a teraz nie poznajesz mnie! Boże! Obecny i gdzieś w bok patrzący, stoisz tam i zdajesz się nasłuchiwać gdzieś w głąb, czekać na jakieś słowo, ale stamtąd, ze szklanej głębi, komuś innemu posłuszny, skądinąd czekający rozkazów.

Siedzę tak przy stole i wertuję w starych pożółkłych skryptach uniwersyteckich — jedyna moja lektura.

Patrzę na spelzłą, zetlałą firankę, widzę, jak lekko wzdyma się od zimnego tchu z okna. Na tym karniszu mógłbym się gimnastykować. Doskonały rek. Jak lekko koziółkuje się na nim w jałowym, tylekroć już spożytym powietrzu. Od niechcenia niemal wykonuje się elastyczne salto mortale — chłodno, bez udziału wewnętrznego, czysto spekulatywnie niejako. Gdy się

tak stoi ekwilibrystycznie na tym reku, na końcach palców, dotykając głową sufitu, ma się uczucie, że w tej wysokości jest nieco cieplej, ma się ledwo wyczuwalne złudzenie łagodniejszej aury. Od dzieciństwa lubię tak patrzeć na pokój z ptasiej perspektywy.

Siedzę i słucham ciszy. Pokój jest po prostu wybielony wapnem. Czasem na białym suficie wystrzeli kurza łapka pęknięcia, czasem płatek tynku obsuwa się z szelestem. Czy mam zdradzić, że pokój mój jest zamurowany? Jakżeż to? Zamurowany? W jakiż sposób mógłbym zeń wyjść? Otóż to właśnie: dla dobrej woli nie ma zapory, intensywnej chęci nic się nie oprze. Muszę sobie tylko wyobrazić drzwi, dobre stare drzwi, jak w kuchni mego dzieciństwa, z żelazną klamką i rygłem. Nie ma pokoju tak zamurowanego, żeby się na takie drzwi zaufane nie otwierał, jeśli tylko starczy sił, by mu je zainsynuować.



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

